



# NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 31 stycznia 1954 r.

Nr 5 (201) Rok V

MARIAN BRANDYS

## Pierwszy spacer

**P**ierwszy spacer po Tiranie odbywam w towarzystwie albańskiego poety i satyryka Andrei Warfi. Andrea urodził się w Himarze, gdzie dojrzewają najlepsze pomarańcze albańskie. Nie trzeba zresztą znać jego biografii, aby i tak na pierwszy rzut oka odgadnąć w nim południowca. Andrea posługuje się w rozmowie tysiącem owych maleńkich, niemożliwych

szy zdanie, które powtarzać mi będą jeszcze wiele razy:  
— Zapamiętaj sobie, szok, w Albanii wszystko zaczyna się od początku.  
Ale zagadnienia architektury nie należą widocznie do głównych zainteresowań mego przewodnika, gdyż coraz mu pilniej do zakończenia tej rozmowy. Rozpiera go jakiś inny ważniejszy temat. Wstrzymuje się jeszcze z gospo-

celując łufą. No... i jakoś trafił tam, gdzie mieli trafić.  
Andrea śmieje się serdecznie, chrząka, posapuje i jeszcze mocniej obcisła na sobie paletkę, której i tak prawie już pęka pod naporem jego solidnej postaci. Pomyśleć tylko: brał gołymi rękami armatę...  
Maszerujemy dalej Bulwarem Nowej Albanii, który powoli strząsa z siebie popiół wojennych wspomnień i powraca do swego pięknego pokojowego wyglądu.

Ale już w chwilę po tym znowu zagradza nam drogę historia. Po przejściu obok wspaniałego hotelu „Daiti” zatrzymujemy się przed niewielkim, pokrytym murawą skwerem. Na skwerze w równym szeregu — jedna przy drugiej — wznoszą się cztery jednakowe tablice z marmuru. Pełno pod nimi kwiatów i wieńców. To groby czterech członków biura politycznego Albańskiej Partii Pracy — których już nie ma między żywymi.

Pierwszego zamordowali faszyci jeszcze w czasie włoskiej okupacji. Dwaj inni umarli po wojnie śmiercią naturalną. Czwarty... Tragiczną historię śmierci czwartego opowiada właśnie Andrea Warfi.

Ten czwarty był z nich najmłodszy i nazywał się Nako Spiru. Choć jestem dopiero pierwszy dzień w Albanii, znam już to nazwisko. Przed paru godzinami w hallu hotelu „Daiti” zwrócono mi uwagę na dużą fotografię młodego uśmiechniętego partyzanta, o śmia-

donem jugosłowiańskim. Mniejszość albańską w Jugosławii konsekwentnie wynaradawiano.

Belgrad mówił: o co się martwicie? Albańczycy żyjący w Jugosławii szybciej dojdą do socjalizmu.

„Socjalistyczna” opieka titowców z dnia na dzień stawała się podobniejsza do dawnej faszystowskiej opieki Włoch. Nie było tylko „tenente del re”.

„Tenente del re” nie było, ale był Koci Džodze — albański minister spraw wewnętrznych, najbardziej wpływowy członek biura politycznego Albańskiej Partii Robotniczej. Koci Džodze odegrał rolę titowskiego „tenente del re”. Bezłitosnym terrorem tłumił wszelką krytykę polityki jugosłowiańskiej. Watpliwości piętnował jako „drobnomieszczańskie odchylenie”. Zdrowy trzon Biura Politycznego omotał siecią potwornych intryg, kalumni i prowokacji. Cenzurował korespondencję najwyższych funkcjonariuszy państwa i partii. Agencji jego wysyłali ze Szwajcarii kompromitujące listy na adresy członków Biura Politycznego. Długą bezkarność w tej zdradzieckiej działalności zapewniała mu okoliczność, że w Albanii kochano Jugosławię i wierzone Jugosławii.

Ale patrioci albańscy nie pozwolili zmusić się do milczenia. W imieniu ich wystąpił Nako Spiru. W świetnie udokumentowanym przemówieniu zdemaskował nieuczciwość polityki jugosłowiańskiej w stosunku do Albanii.

Nako Spiru był umiłowanym przywódcą młodzieży albańskiej i

LEOPOLD STAFF  
P E A N

Nie ścisajcie mi tłumikiem wielkiego Peanu, Błagam was: „Nie ostrugujcie ryby z oceanu!”

Dajcie mi szerokie pole, trudno wciąż iść miedzą. Może to mój wiersz ostatni, a diabli go wiedzą.

Kiedy dzieją się potężne wciąż gusła i czary, Trudno dziwić się, że śpiewak nie utrzyma miary.

Kiedy dnie przestały dawno jeździć na ślimaku, Trudno jest na pegazowym nie wierzyć rumaku.

Wszystko wznosi się i rośnie, choć leżało w gruzach, Myśli moje się krzątają w robotniczych bluzach.

Wieże biegną w niebo, w jutro pędzą wszystkie drogi. Drzewa, chmury, rzeki, góry, toż to wszystkie bogi.

Gdy zwycięski rytm wybijam na lirze pogańskiej, Już nie jestem olimpijski ani franciszkański.

Gdy w błękitie letnim płyną chmury nad mą głową, Widzę jak się przechadzają tam Jowisz z Jowią

I wybucham, odurzony dni pięknem i chwałą: Wszystkie bogi są prawdziwe i jest ich za mało.



Zdjęcie sztabu partyzanckiego. W środku siedzi Nako Spiru

do naśladowania gestów, min i uśmiezków, które tak wspaniale potrafią dopełniać barwę i kształt wypowiedzianych słów, a rodzą się tylko w południowym słońcu. Andrea zbliża się do czterdziestki, jest ruchliwy, niezmiennie pogodny i... dość zadowolony. Ta ostatnia niezadowolona cecha naraża go na ciągłe żarty ze strony szczuplejszych kolegów. Przyjmuje je z godnym podziwu spokojem, swój dowcip zachowując dla spraw ważniejszych. Wprawdzie nie znam jego popularnych poematów satyrycznych, ale jestem przekonany, że są równie zabawne, celne i przekonujące, jak jego południowa gestykulacja.

Jako przewodnik po Tiranie Andrea Warfi jest nieoceniony. Zna historię dosłownie każdego tutejszego kamienia. A opowiadać umie. Nie darmo urodził się w Himarze.

Na trasę pierwszego spaceru wybieramy reprezentacyjną arterię Tirany — opadający amfiteatralnie ku Placowi Republiki Bulwar Nowej Albanii.

Na dobrą sprawę, to architektura i pochodzenie tego wielkomiejskiego bulwaru niewiele mają wspólnego z nową Albanią. Większość potężnych luksusowych gmachów bulwaru zbudowali Włosi, przeznaczając tę dzielnicę na kwatery imperialnego zarządu świeżo zdobytę kolonię albańską. Obecna nazwa bulwaru tłumaczy zasadniczo, bądź co bądź, fakt, że w gmachach przewidzianych na urzędy faszystowskiego „tenente del re” (wicekróla) — mieszczą się dzisiaj instytucje Albańskiej Republiki Ludowej.

Ten fakt pozwala mi ze spokojnym sumieniem cieszyć się pięknym Bulwarem Nowej Albanii. Bo bulwar jest piękny. W jego architekturze motywy wschodu i południa zespala się harmonijnie z elementami najbardziej nowoczesnego budownictwa europejskiego. Całość oświetlona blaskami zachodzącego słońca przedstawia się imponująco.

Andrea wysłuchuje mych zachwytów z uśmiechem uprzejmego gospodarza i skromnie wtrąca, że z przeciwległej strony Placu Republiki wychodzi druga równie imponująca magistrala Tirany — Bulwar Stalina, zbudowany już całkowicie siłami i środkami Ludowej Albanii.

— Nie jest może tak wychuchany jak ten, ale nam, Albańczykom, podoba się stokroć lepiej. Gdybyś ty wiedział, szok\*, w jak trudnych warunkach rodzi się nowa architektura albańska.

Łatwo to sobie wyobrazić. Tradycję architektoniczną nie było w Albanii żadnych. Domy w miastach najpierw tureckie — później włoskie. Jedynie pomniki narodowej architektury albańskiej zachowane przez historię to: ruiny średnowiecznych zamków, w których Albańczycy bronili swej niepodległości przed Turkami i chłopskie chaty, w których gnieździł się gorzej od bydła. Z takich wzorów nie da się wyprowadzić stylu nowej architektury albańskiej, to jasne.

Z ust Andrei słyszę po raz pierw-

\* szok — po albańsku „towarzysz”

darskiej uprzejmości, ale chrząka, strzela palcami i coraz niespokojniej mruga swymi czarnymi żywymi oczkami. Wreszcie ma dość. Gestem ręki jak nożem uciną rozważania architektoniczne.

— Widzisz ten wąwóz nad hotelem „Daiti”? Stamtąd poszło nasze uderzenie na Tirane.

Stało się. Jak porywisty potok z gór popłynęła długo wstrzymywana opowieść. Kwitnący Bulwar Nowej Albanii zamienia się w dymiące pola dziewiętnastowiecznej bitwy o wyzwolenie Tirany. Tam, na Placu Republiki, gdzie dzisiaj stoi pomnik Stalina — zionie nieustannym ogniem fort włoskiego oporu. W górach nad Tiraną broń się rozpaczliwie posilki niemieckie, ujęte w kleszcze partyzanckie słynnym manewrem generała Mehmed - Szechu. Na tamten gmach padły pierwsze pociski. Za tym domem stały hitlerowskie baterie. Tędy szli oni, tamtędy my...

Opowiadając, Andrea Warfi daje pełne ujście swemu południowemu temperamentowi. W gestykulacji przechodzi sam siebie. Jego słowa gonią się z myślami. Wargami naśladuje świst pocisków. Palcami strzela jak z armat. Wie wszystko. Zna każdy szczegół. Mówi tak, jakby miał rozłożony przed sobą plan operacyjny tamtych dni. W lekkim oszołomieniu patrzę na ten bojowy atak, który ogarnął mego pogodnego przewodnika. Uderza mnie komiczny kontrast między tym co opowiada, a jego dobrodusznym pokojową postacią. Krytycznym spojrzeniem oceniam przyjemnie zaokrąglone kształty, artystycznie rozwiązany szal i jakże po cywilnemu zsunięty z czoła kapelusz.

— Słuchaj, Andrea, a ty sam... czy ty także brałeś udział w partyzancie?

Jestem pierwszy dzień w Albanii i nie wiem, że pytać czterdziestoletniego Albańczyka, czy był w partyzancie, to zupełnie tak samo, jak gdyby go pytać, czy umie po albańsku.

Andrea jest wyrozumiały. Uśmiecha się dobrodusznemu i wali mnie na odlew zdumiewającym szczegółem swego życia.

— Brałem. Jako... szef agencji i propagandy Pierwszej Brygady Partyzanckiej.

Pierwszej Brygady Partyzanckiej wówczas — to prawie tak, jakby całe armii, wyzwolającej Tirane.

— To znaczy... jako literat?

Nie, Andrea nie był literatem. Jako syn nauczyciela z małej wioski kształcił się na agronoma, a do partyzantki poszedł po prostu jako Albańczyk. Literaturę zajął się dopiero w partyzancie. Z racji swego stanowiska. Kiedyś przy ognisku, na pudełku po papierosach skreślił piosenkę, którą później Ludowe Wojsko Albańskie przyjęło za swój hymn.

— A zresztą literatura nie była wtedy najważniejsza...

I znowu idą w ruch palce, szybkie gesty, uśmiechy.

Pewnego razu poszedł na czele wypadu i wziął gołymi rękami włoską armatę. Tylko nie wiadomo było jak z niej strzelać. Tęgo nie nauczył się ani z agronomami, ani z literaturą. Więc zaczął strzelać na wprost, jak przed dwustu laty,



Gmach hotelu „Daiti” na Bulwarze Nowej Albanii.

łych, szczerych oczach. Wskazując na fotografię, Kol Jakowa powiedział: To jest Nako Spiru, przywódca albański, który obok Enwera Hodży zdobył sobie największą miłość narodu.

Teraz stojąc nad grobem Nako Spiru odtwarzam sobie w pamięci jego młodzieńczą jasną twarz.

Historia śmierci Nako Spiru — to najtragiczniejszy epizod albańskiej walki z tytoizmem. Nie obawiajcie się, nie będę wam powtarzał rzeczy znanych. My w Polsce słyszeliśmy tylko głuchy odgłos ciosu. Tu cios uderzył prosto w serce.

W Albanii kochano Jugosławię. W czasie wojny jedna trzecia Albańczyków walczyła w partyzancie jugosłowiańskiej. Po wojnie Jugosławię objęła opieka nad budującą socjalizm Albanii.

Ale opieka titowskiego rządu zawiodła nadzieje Albańczyków. Naczelna zasada tej opieki było całkowite odcinanie Albanii od Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej.

Belgrad mówił: Związek Radziecki — państwo wysoce uprzemysłowane, mające za sobą trzydzieści lat doświadczeń rewolucyjnych, nie może być wzorem dla zacofanej Albanii. Jedynym wzorem i nauczycielem dla Albanii powinna być zbliżona do niej struktura Jugosławii.

Albanie zalała fala „specjalistów” titowskich. Ale specjaliści ci nie przystąpili do budowy przemysłu albańskiego. Zadaniem ich była jedynie eksploatacja albańskich bogactw naturalnych i wywóz ich do Jugosławii.

Belgrad mówił: na co Albanii własny przemysł, jeżeli albańskie surowce mogą być przerabiane przez przemysł jugosłowiański.

W Albanii nie organizowano szkół wyższych.

Belgrad mówił: po co Albanii wyższe uczelnie, jeżeli studenci albańscy mogą się kształcić na wyższych uczelniach jugosłowiańskich.

Milion Albańczyków — połowa całego narodu — pozostał za kor-

„najtęższą głową po Enwerze Hodży”. Ale weźcie pod uwagę dwa fakty: było to na długo przed ogłoszeniem sławnego listu Biura Informacyjnego a w Albanii jeszcze ciągle kochano Jugosławię.

Koci Džodze i jego klice udało się zdławić głos protestu. Młody bohater walk niepodległościowych został ogłoszony za wroga narodu i agenta imperializmu. Dano mu jedną noc na odwołanie błędów. Nako Spiru zalał się pod ciężarem potwornego oszczerstwa. W noc — pozostawioną mu na odwołanie błędów, które nie były błędami — wpakował sobie kulę rewolwerową w usta.

List Biura Informacyjnego, który przyszedł później nie zdołał już ożywić Nako Spiru. Ale Albanie uratował. W oparciu o ten list Enwer Hodża rozgromił grupę Koci Džodze. W ciągu jednego dnia maleńki milionowy naród albański strząsnął z siebie titowskich specjalistów i przystąpił do rzeczywistej budowy socjalizmu.

Oto, co opowiada nad grobem Nako Spiru mój przewodnik Andrea Warfi. Przepadły gdzieś jego zabawne gesty, miny i uśmiešky. Przy tym opowiadaniu jest skupiony i poważny. On także kocha Jugosławię.

Drogo od czterech grobów do Placu Republiki przebywamy w zupełnym milczeniu. Głowa ciąży mi od nadmiaru wrażeń. Spacer nasz trwa niespełna godzinę. Przeszliśmy zaledwie kilkaset metrów. A ileż zdążyłem się dowiedzieć! Epizody bitwy tirańskiej płaczą mi się z tragicznymi szczegółami śmierci Nako Spiru. „Jaka będzie nowa architektura albańska?... Co to właściwie znaczy „brać armatę gołymi rękami?... O czym myślał Nako Spiru w tę straszną ostatnią noc?...” Za wiele zebrało się tego wszystkiego, stanowczo za wiele na pierwszy dzień. Trzeba najszybciej wracać do hotelu, porobić notatki, utrwalić obrazy...

Ale utrwało, szok! Jest jeszcze Plac Republiki, który także pra-

gnie zademonstrować swoje niespodzianki.

Plac Republiki — serce albańskiej stolicy. Niewielki, okrągły. Pośrodku pomnik Stalina. Na zielonym skwerze plastyczna makietka Planu Pięcioletniego. Wokoło pałace ministerstw, Narodowy Bank Albanii. Na wprost rozległa perspektywa Bulwaru Stalina. Wysokie, proste gmachy naukowych instytucji. Ogarniam to wszystko jednym rzutem oka. Ale nie to przyciąga w tej chwili moją uwagę.

Najważniejsze jest tam, z prawej strony placu, gdzie otwiera się widok na starą Tirane — wschodnią egzotyczne miasto z Bajek Tytusa i jednej Nocy. Frastary koronkowy meczet maurytański z wysoką wieżą minaretu. Przekupnie kasztanów, siedzący w kucki przy swych piecykach. W kretanie ciasnych uliczek sklepiony, hałaśliwy, barwny stary bazar. Niezdrowa ciekawość rzeczy starych, dziwnych i nieznanych — która tak bardzo drażniła szofera Koci w drodze z Durres do Tirany — ogarnia mnie jak gorączka. Za wiele egzotycznych książek nazywałem się w młodości. Szczególnie korci mnie minaret, ach ten minaret — wysoki, smukły, tajemniczy! Brak tylko na nim śpiewającego muezzina. W jednej chwili zapominam o nowej architekturze albańskiej, o bojach o wyzwolenie Tirany i o tragedii Nako Spiru.

— Słuchaj Andrea, czy... czy nie można by wejść na wieżę tego minaretu?

Warfi obrzuca mnie krótkim spojrzeniem. Ileż dobronliwej ironii i pobłażliwej wyrozumiałości można zmieścić w takim jednym króciutkim muśnięciu okiem.

— Ależ oczywiście... jeżeli chcesz...

Musicie wybaczyć mi drodzy czytelnicy. Taki a nie inny koniec niniejszego spaceru zapisany był widać w księgach przeznaczenia. Macie przykład, do czego prowadzi nieodpowiednia lektura lat młodości.

Wchodzimy do mrocznego mlekiego wnętrza meczetu, wysłanego grubymi kolumnami. Na ścianach wierszy z koranu. Wiernych na razie nie ma. Jest tylko jakiś skłopotany staruszek w długim czarnym chalcie i białym turbanie — zapewne służący świątyni — który domaga się od nas zdjęcia obuwia. Na szczęście Andrea perswaduje mu ten niewczesny pomysł. Okazuje się, że ceremoniał obowiązuje tylko w samym meczecie. Natomiast na minaret można wlaźić w butach.

Rozpoczynamy więc mozolną wspinaczkę w wieży wąskiej jak komin fabryczny a liczącej z pewnością kilkanaście pięter. Prastare schody kamiennego wiją się spiralnie wokół żelaznego drążka, zastępującego poręcz. Są trójkątne, zdradliwie, wysokie chyba na pół metra. Po przejściu kilkunastu takich stopni czuję je porządnie w nogach. A wieża zdaje się w ogóle

(Dokończenie na str. 6)



Meczet na Placu Skandebega w Tiranie.



# Kronika Tygodnia

Średniowieczne widowiska należą do tradycji Krakowa. Ale obrzydliwe, średniowieczne widowiska, którego sceną był niedawno uniwersytet krakowski, niewiele ma wspólnego z uroczymi farsami i czcigodnymi moralitetami, w dni świąteczne przedstawianymi na tle starożytnych murów Barbakanu.

Dramat, który rozegrał się w doślojnym gmachu krakowskiej uczelni, był dramatem sercowym. zakończył się zaś, w myśl reguł klasycznych, krwawo. Dwaj studenci, rywalizujący o dziewczynę, pociągali się wzajemnie szablami, przy czym sekundowały w tych jatkach dwie panny. z nich jedna to właśnie ów obiekt miłosnego sporu. Kto ci młodzieńcy? Jeden niestowarzyszony, drugi zetempowiec. Kto te dziewczęta? Jedna aktywistka zetempowska, druga — ex-hrabianka Szeptycka.

Czy warto w ogóle pisać o tym wybruku? Myślę, że tak. Warto choćby dlatego, że gazetka ścienna uczelni zdarzenie to przemilczała. A przemilczała je, ponieważ w kierownictwie organizacji zetempowskiej uznano je za nietypowe...

Powiedzmy od razu — wypadek, o którym mowa, jest w naszym życiu studenckim czymś odosobnionym i niespotykanym. Ale...

Kiedy przed wielu laty leningradzka robotnica imieniem Marusia otrula się dlatego, że nie miała lakierowanych pantofelek jak jej przyjaciółka Tania, był to wypadek w życiu radzieckim zgola nietypowy. A jednak Majakowski

napisał o tej historii wiersz. W tym wierszu poeta ukazał dzieje dziewczyny, którą porzucił monter Wania, nazywający siebie na cudzoziemską modłę „elektrotechnikiem Jean”. I na tle tego nietypowego wypadku Majakowski rozprawił się z typowymi przejawami pozostłości burżuazyjnych.

Wybrak krakowskiej „szlachty”, której zapachniały burszowsko-korporackie tradycje, jest przykładem do czego doprowadzić mogą w naszych czasach średniowieczne poglądy na zagadnienie miłości i honoru.

Żyjemy w okresie kształtowania się nowej moralności, w okresie tworzenia się nowych stosunków między ludźmi. Proces tej przemiany dokonuje się w ciężkiej walce z przeżytkami starego. Młodzież nasza boryka się z trudnymi problemami moralnymi, niejednokrotnie nie umie sobie jeszcze z nimi poradzić. „Jakiej udzielić wam rady?” — zastanawia się Majakowski we wspomnianym wierszu o Marusi. I odpowiada (cytuje dosłownie):

„Dobrze jest i całować się i wino pić. Ale... kto poznał prawdziwy smak wina i poezji, temu nie zastąpią ich żadne inne napoje, żadne piwa, ani alkohole!”

„Pamiętaj ciągle, że jesteś budowniczym nowych miłości, a wyśmiesz się bzdurą miłosny epizod. Jakieś tam Luby z jakimś tam Wowką!”

Taki morał wysnuwa Majakowski z nietypowej historii o Marusi, która się otrula.

Krzysztof Gruszczyński

Dzień trzechsetnej rocznicy przywrócenia jednolici państwowości Ukrainy z Rosją — to święto nie tylko narodu ukraińskiego, ale i rosyjskiego.

Wieżę prawdziwej, głębokiej przyjaźni pomiędzy Ukraińcami a Rosjanami zrodziły się i krzepły w twardej, zacietej walce z nieprzyjacielem. Gdy sięgniemy do epoki dawnio minionej, która znalazła wyraz w niezapomnianym poemacie starożytnej literatury rosyjskiej, w „Słowie o pułku Igora”, gdy wspomnimy czasy, kiedy na Ukrainie runęły pułki chanów tureckich i tatarskich, czasy, kiedy szlachta polska usiłowała uczynić z chłopów ukraińskich swych poddanych, stwierdzimy, że w trudnych chwilach życia naród ukraiński kierował oczy na północ i w ludzie rosyjskim zawsze znajdował braterską pomoc i oparcie.

Jedną z najpiękniejszych kart dziejów narodu ukraińskiego stanowi wojna wyzwolenicza w latach 1648 — 1654, którą naród ukraiński wiodł, prowadzony przez wybitnego działacza społecznego i dowódcę Bohdana Chmielnickiego.

Były to straszne czasy. Szlachta polska, gnana żądzą wzbogacenia się, wyciągała ręce po żyzne stepy Ukrainy, ogniem i mieczem zdobywała miasta i wsie nad Dnieprem. Ukraińcy padali ofiarą niesłychanych gwałtów i grabieży. Istnienie ich jako narodu zostało poważnie zagrożone.

Lecz miłujący wolność lud ukraiński powstał przeciw swemu wrogowi. Chłopi ukraińscy, którzy stanowili główną, decydującą siłę w tej wojnie, nie szczędziły życia w walkach o wolność. Ofiarą ta walka znalazła gorący odzew wśród uciskanego polskiego chłopstwa pańszczyźnianego. Nieocenioną pomoc ruchowi narodowo-wyzwolenicznemu na Ukrainie okazała Rosja — naród rosyjski, jak zawsze związany serdecznością z ukraińskimi braćmi.

W dniu 18 stycznia 1654 roku wojnę narodową z najeźdźcą zakończyła jednomyślną uchwałą zjednoczenia Ukrainy z Rosją Rada Perejasławska. Rada wyraziła wolę narodu ukraińskiego, pragnącego raz na zawsze powziąć swe losy z wielkim narodem rosyjskim.

Wiele istnieje innych jeszcze przykładów przyjaźni tych dwóch wielkich narodów, przed i po tym pamiętnym fakcie. W początkach wieku XVII kozacy ukraińscy bili się o boku swych braci rosyjskich na Kaukazie i nad Donem, najpierw odbili, a potem obronili miasto Azow. Niejednokrotnie statki, wiozące Ukraińców i Rosjan, przeznaczały Morze Czarne, riosąc wolność więzionym przez Turków jeńcom rosyjskim i ukraińskim.

W wielkiej bitwie pod Połtawą Rosjanie i Ukraińcy jako nieroz-

## SIEMION SKLARENKO O wielkiej przyjaźni

(ARTYKUŁ NAPISZANY SPECJALNIE DLA „NOWEJ KULTURY”)

łącznie towarzysze broni rozmogli okupanta i obronili honor i niepodległość jednego i drugiego kraju.

Najlepsi synowie Ukrainy uczestniczyli w rosyjskich powstaniach chłopskich pod wodzą Stepana Rjżina i Pugaczowa. Pod sztandarami Suworowa i Kutuzowa Rosjanie i Ukraińcy walczyli razem. Brali udział w morskich wyprawach pod wodzą admirałów Uszakowa i Nachimowa; wspólnie bronili Sewastopola.

Najlepsi synowie narodu rosyjskiego zawsze przyznawali narodowi ukraińskiemu prawo do jego niezawisłości narodowej, wspólnie z przodującymi działaczami postępowymi Ukrainy walczyli przeciwko mocarstwowej polityce carskiego rządu, bronili się przeciwko konfliktom nacjonalistycznym, które starały się rozpaść obszarzy ukraiński i burżuazja.

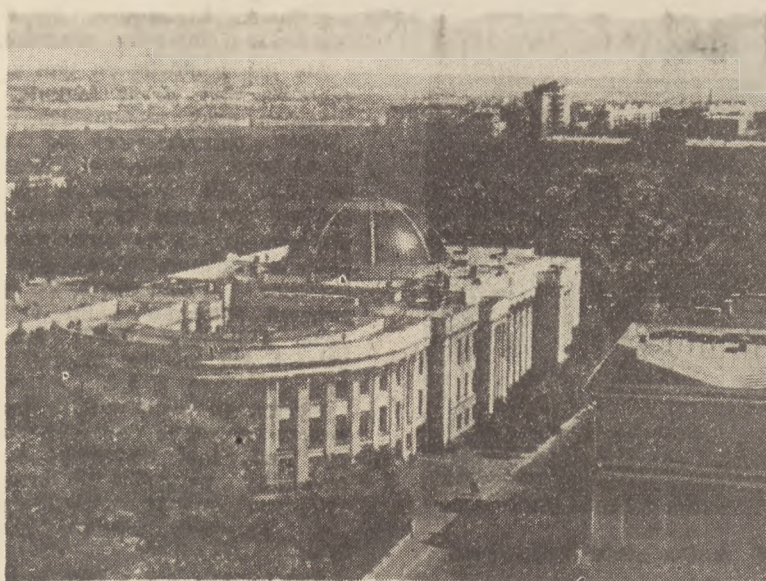
Głęboką miłością otacza lud ukraiński pamięć genialnego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina, w którego twórczości znalazły wyraz najskrytsze myśli i marzenia ludu

kształcił swą republikę w produkuje, bogato uprzemysłowiony kraj, posiadający zmechanizowane w znacznym stopniu gospodarstwo rolne, w kraj wysokiej kultury.

Jeden z najważniejszych egzaminów trwałości ustroju radzieckiego i przyjaźni narodów ZSRR stanowiła Wielka Wojna Narodowa z hitlerowsko-faszystowską inwazją. Wojna sprowadziła na kraj ogrom straszliwych nieszczeń, lecz w jej ogniu jeszcze bardziej hartowała się przyjaźń narodów Związku Radzieckiego. Przyjaźń nierozwalna.

Tak samo jak w bitwie pod murami Stalingradu, trwali niewzruszenie synowie wszystkich narodów Związku Radzieckiego — Rosjanie i Ukraińcy, Białorusini i Gruzini — tak samo w bitwie o wyzwolenie Ukrainy nad swym Dnieprem i na szczytach wysokich Karpat nie szczędzili swych sił i szli niepostrzeżenie naprzód, by oswobodzić Ukrainę.

Spełniło się odwieczne marzenie narodu ukraińskiego: zachodnia



Kijów. Siedziba Rady Najwyższej Ukraińskiej SRR.

ukraińskiego. Nieśmiertelne jest nazwisko Gogola, piewcy Ukrainy.

Naród ukraiński nie zapomni nigdy zachwyty, jaki wzbudziła literatura ukraińska w krytyku Biełskim, nie zapomni, ile sił i talentu oddali sprawom Ukrainy pisarze tej miary co Niekrasow i Korolenko, nie zapomni, jaką miłością darzyli lud ukraiński Lew Tołstoj, Maksym Gorki, Antoni Czechow, Iwan Turgieniew, jak wiele zaczerpnęli oni ze skarbnicy duchowej narodu ukraińskiego i jak zwrócili to, co zaczerpnęli stokrotnie. Szczepkin, Repin, Czajkowski — najlepsi synowie narodu rosyjskiego, związani są nierozłącznie z losami mas pracujących Ukrainy.

Lud Ukrainy nie zapomni nigdy tej miłości i troski, jaką wcieli synowie narodu rosyjskiego darzyli genialnego poety ukraińskiego Tarasa Szewczenkę, jak przychodzili mu z pomocą w różnych etapach jego życia, nie zapomną, że za pieniądze, które zdobył dzięki swemu talentowi wielki malarz Briullow, wykupiono z niewoli pańszczyźnianej poetę — buntownika.

Naród ukraiński nie zapomni nigdy wybitnych przedstawicieli braterskich narodów Związku Radzieckiego — białoruskiego, gruzińskiego, ormiańskiego i wielu innych, którzy choć sami uciskani przez carów stawali w obronie narodu ukraińskiego, znajdowali dlań słowa otuchy i współczucia.

My, żywi świadkowie i uczestnicy wielu wydarzeń historycznych na Ukrainie pamiętamy, jakie było tu życie w czasach poprzedzających Rewolucję. Kraj nasz był wielce zacofany, gdyż w ciemnocie pragnęli utrzymać go wcieli obszarzy i carat. Po olbrzymim bogactwie tego kraju wyciągała poządlwie ręce burżuazja, zarówno rosyjska jak i ukraińska. Siegali po nie także i kapitaliści zagraniczni.

Decydujące znaczenie dla losów zarówno rosyjskiego jak i ukraińskiego narodu miało wystąpienie na arenę polityczną proletariatu rosyjskiego, z jego awangardą bojową — Partią Komunistyczną — na czele. Partia Komunistyczna uzbroiła narody Rosji i Ukrainy w zwycięski oręż nauki marksistowsko-leninowskiej, wyprowadziła oba narody na drogę rewolucyjnej walki o oddanie władzy w ręce mas pracujących.

Wielka Rewolucja Październikowa rozwarła kajdany niewoli kapitalistycznej, otworzyła wszystkim narodom Rosji drogę do socjalizmu. Z dumą stwierdzamy, że naród ukraiński ruszył pierwszy w ślad za narodem rosyjskim drogą rewolucyjno-socjalistycznej i zrealizował swoje odwieczne marzenie, utworzenie narodowego Państwa Ukraińskiego.

Braterski sojusz i przyjaźń obywateli narodów rosła i krzepła w miarę czasu coraz bardziej. Jednostka stała się w latach wojny domowej, kiedy na Ukrainę szły hordy najeźdźców, kiedy podnosiła się wewnętrzna kontrrewolucja, kiedy interwencji zacierała wokół Kraju Rad pierścień swych wojsk — wówczas naród ukraiński, naród Ukraińskiej Radzieckiej, podobnie jak naród rosyjski, wkroczył na drogę budownictwa socjalistycznego. W oparciu o braterską pomoc wielkiego narodu rosyjskiego, o pomoc wszystkich narodów ZSRR, lud Ukrainy prze-

Kijowskiego Teatru Dramatycznego im. Franko, teatrów, które kontynuując doświadczenia wielkich mistrzów sceny rosyjskiej i klasyki ukraińskiej, wnoszą cenny wkład do skarbnicy sztuki teatralnej?

Na ziemi ukraińskiej nie ma włości, w której nie byłoby biblioteki zasobnej w najcenniejsze utwory literatury rosyjskiej, ukraińskiej, braterskich narodów ZSRR, krajów demokracji ludowej i innych. Literatura wielkiego narodu rosyjskiego cieszyła się zawsze miłością narodu ukraińskiego. W ciągu ostatnich trzydziestu lat utwory Puszkina doczekały się 105 wydań (z tego jedno w nakładzie około 3 milionów egzemplarzy), 53 wydań w języku ukraińskim. W tym samym czasie utwory Lwa Tołstoja osiągnęły 103 wydania, 43 w przekładzie na język ukraiński. Utwory Gorkiego wyszły w 253 wydaniach, ogólny ich nakład wyniósł ponad 5 milionów egzemplarzy. Do podręcznej biblioteki mieszkańca Ukrainy należą poezje Majakowskiego, powieści Fiediejewa i Aleksieja Tołstoja, Simonowa, Surkowa — zarówno w oryginalnej jak i w tłumaczeniach na język ukraiński.

Z drugiej strony również i utwory ukraińskie weszły do literatury narodów ZSRR. Na 35 języków narodów ZSRR zostały przetłumaczone nieśmiertelne utwory Tarasa Szewczenki. Nie ma takiego zakątka w całym Związku Radzieckim, w którym nie znani byłiby pisarze ukraińscy jak Franko, Lesia Ukrainka, Koczubiński, a ze współczesnych: Korniejczuk, Ryłski, Ticzyna, Gonczar, Rybak, Małyszko.

Nigdy dotąd pisarze ukraińscy nie mieli możliwości nawiązania takiego kontaktu ze swymi czytelnikami i ze swoim ludem, jak w czasach obecnych. Utwory ich drukowane są w nakładach setek tysięcy egzemplarzy.

Ukraina Radziecka posiada liczne kadry rodzimej inteligencji. Inteligencja zamieszkuje nie tylko miasta ale i wieś. W każdej wiosce można spotkać teraz agronomów, lekarzy, nauczycieli, melioratorów, zootechników, elektryków — ludzi najróżniejszych specjalności. W roku 1953 wyższe uczelnie dostarczały gospodarce narodowej 76 tysięcy młodych specjalistów, którzy w przeważającej większości rozjechali się w zapadłe rejony Ukrainy, zwane niegdyś „provincją” — obecnie zaś każde miasto i każda wieś, mają swe oblicze kulturalno-społeczne, przestały być „głuchą prowincją”, gdyż mają wszystkie talno osiągnąć kontakt ze stolicą Ukrainy, Kijowem.

Kijów! Niby zorza poranna świeci nad błękitnymi wodami Dniepru. Tutaj, w Kijowie, wszystko tchnie historią, zwłaszcza teraz, kiedy cała Ukraina świętuje trzechsetlecie Zjednoczenia. Kijów — to żywa księga naszej historii. Murzy cerkwi św. Zofii widziały niejedną krwawą bitwę z hordami najeźdźców. Tutaj, na wzgórzach Dniepru rozmyślał o sprawach państwa rosyjskiego Piotr I. W czyszowym domu na Podolu i w cichym domu na Pieczersku bywał Puszkina. W zaułku, biegnącym od ulicy Kresczatik, stoi domek, w którym mieszkał i tworzył Taras Szewczenko.

A w centrum miasta, na placu Sofijskim, na wysokim granitowym cokole stoi konny posąg Bohdana Chmielnickiego, hetmana, który wcielił w życie nadzieje i pragnienia swego narodu. Buława, która była symbolem władzy, danej mu przez naród, wskazuje na Dniepr, na północ, na Moskwę, jak gdyby przypominając, że zjednoczenie z Moskwą i z wielkim narodem rosyjskim, to była jedyna droga, która uratowała naród ukraiński od klęski i poprowadziła go ku zwycięstwu i szczęściu.

Siemion Sklarenko

Kijów, w styczniu 1954,

## WŁODZIMIERZ BORUŃSKI S E R C E

Pamięć matki, zamordowanej przez hitlerowców.

Lzy moje, które od wielu lat wyschły,  
Gazem kamiennym, bryłą cierpienia  
Leżąc na sercu, — wybuchną jak iskrę!

Tak myśli martwe czas w ogniu zamienia,  
Tak z chmur kudłatych wychyla się słońce,  
Z gniazda rozpacz wyklują się szczęście,  
I tak też ręce opadające  
Nagłym wyrzutem powietrza tną pięścią.

Myślą cięciwą wżruszenia dziś napnę,  
Strząsą roztrąc mroki skębione...

Polsko! Dziś pachniesz kwiatami i wapnem,  
A przecież wtedy pachniałaś cyklohem...

W trawie wyschniętej i w zbożu spalonym,  
W ceglącym żwirze, w rozbitych kamieniach,  
Matki szukając, — błędziłem szalony  
Traktem mordców, — epoką milczenia

Kraju mej matki, żyjącej w twej glebie!  
Matki, rzeźbionej już tylko pamięcią,  
Dziś z ruin Ghetta jej serce wygrzebię,  
Idąc po ziemi silniejszej od śmierci.

Przyjmij to serce i rozpal w nim życie,  
Ogrzej je walki gorącym oddechem,  
Żebym mógł witać dzień każdy o świecie  
Nowym wysiłkiem i nowym uśmiechem,

### SPRAWY WYDAWNICZE

#### Plany wydawnictw pod publiczną ocenę

Już spowzedniał na kartach tytułowych książek rok 1954, już styczniowa produkcja zasilila półki księgarskie setkami nowych książek, znaczna część wydań tegorocznych jest już przesadzona — a dopiero teraz Centralny Urząd Wydawnictw zdecydował wydanie drukiem zapowiedzi wydawnictw na rok 1954. Wprawdzie lepiej późno — jak w roku bieżącym — niż wcale — jak w roku ubiegłym — ale trzeba chyba na przyszłość wydawać plany na parę choćby miesięcy przed nowym rokiem — jeśli się oczywiście druk tych planów traktuje poważnie jako zachętę do publicznej dyskusji, i jeśli się zakłada, że wyniki dyskusji winny być jeszcze w tym roku wykorzystane dla ulepszenia planu w trakcie jego realizacji.

A jest to plan zakładający poważną poprawę pracy wydawnictw, duży wysiłek dla podniesienia jakości książki, zwiększenie ilości. Szczególnie duży postęp przewiduje plan literatury dla dzieci i młodzieży. Przy 275 tytułach i 13,6 mln. egz. w planie 1953 r. — 412 książek i przeszło 20 mln. egz. w roku 1954. Co czwarta książka wydana w r. 1954 przeznaczona będzie dla dzieci i młodzieży! W tej liczbie 94 książki otrzymają dzieci w wieku przedszkolnym, 84 (mało!) młodsze dzieci, 175 — dzieci starsze i młodzież. Zjawiskiem przy tym bardzo pozytywnym jest duży wzrost ilości pierwszych wydań (221 książek) i prac autorów polskich (271 tytułów) przy równoczesnym wzroście ilości przekładów (136, w tej liczbie 99 książek radzieckich) i wznowień. Nie trzeba się jednak ludzi, że ta ilość książek dla dzieci i młodzieży zaspokozi ogromne zapotrzebowanie miast i szczególnie wsi. Książki barwne dla dzieci młodszych, tanie książki dla młodzieży są u nas dosłownie rozchwytywane i nie 20, ale

chyba 40 milionów egzemplarzy mogłoby „Dom Książki” sprzedać, gdyby mu ich tylko CUV i wydawcy dostarczyli. Ale coż tam się rozmarzać — papiernie też swój ważki głos mają, a co dziwniejsze — i sam „Dom Książki” nie chce zwiększać swych zamówień, chyba w zamian za trudniejsze do sprzedawania mało nakładowe wydawnictwa fachowe czy naukowe.

Tylko tymi tendencjami można sobie wytłumaczyć, że wzrost ilości książek dziecięcych pochłonął nie tylko cały planowany wzrost rozmiarów produkcji wydawniczej w 1954 r. (3 mln. egzemplarzy), ale przy założeniu wzrostu nakładów techniki i niewielkim zwiększeniu ilości egzemplarzy podręczników i książek popularno-naukowych — spowodował spadek nakładów innych działów. Ucierpiła przy tym również literatura piękna: plan na r. 1954 zakłada spadek ilości tytułów i nakładów o 5 proc. (do 900 tytułów i 18 milionów egzemplarzy). Po raz pierwszy na przestrzeni dziesięciolecia zakłada się, że ilość egzemplarzy książek dla dzieci i młodzieży będzie większa niż dla dorosłych.

Dzieje się tak w chwili kiedy, jak doniosła prasa, na przykład w ZSRR nakłady beletrystyki wzrastają w r. b. o 25 procent. Możliwości zbytu są w tym dziale książek — tego nikt nie kwestionuje. Więc obawa przed „wysokim planem”, czy może brak papieru? Nie wyobrażam sobie, że zabraknie papieru na druk potrzebnej, poszukiwanej książki, skoro całe zapotrzebowanie wydawców nie sięga 10 proc. naszej produkcji papieru, a na beletrystykę, na zwiększenie nakładów książek wykupywanych w niewiele tygodni trzeba jeszcze co najwyżej jednego procentu. Nie umiemy chyba przekonać naszych władz, że nie wydrukujemy na tym dodatkowym papierze książek zbędnych,

nie umiemy wyjaśnić nawet „Domowi Książki”, że o poszukiwane cenne książki można śmiało zwiększać plan zbytu bez uszczerbku dla książek innych działów.

Jak więc wygląda w liczbach nasz plan beletrystyczny? Poważnie rośnie produkcja „Czytelnika”, który zapowiada 310 książek o łącznym nakładzie 6,5 mln. egz., zmniejsza nieco nakłady PIW (250 książek, 5 mln. egz.) rosną szybko „Iskry” (do prawie 2 mln. egz.) i nieznanie Wyd. MON (do 2,3 mln. egz.). Te cztery wydawnictwa dostarczą w r. 1954 80 proc. zaplanowanej beletrystyki. Ambitnym założeniem tego planu jest poważny wzrost pierwszych wydań (623) i prac autorów polskich (558) co jednak przy ustalonym zbyt niskim pułapie idzie w parze z poważnym zahamowaniem wznowień i spadkiem ilości przekładów. Korzystnie się na tym tle wyróżnia wzrost bardzo potrzebnych przekładów z języka niemieckiego, zwłaszcza klasyków (wzrost dwukrotny).

Tyle w krótkiej wzmiance o ramach ilościowych beletrystyki w r. 1954. Minął styczeń i plany wydawców wędrują dopiero do drukarni, by stać w najbliższym czasie ruszyć na poszukiwanie milionów czytelników — do fabryk, świetlic i bibliotek wiejskich, do specjalistów wszystkich dziedzin.

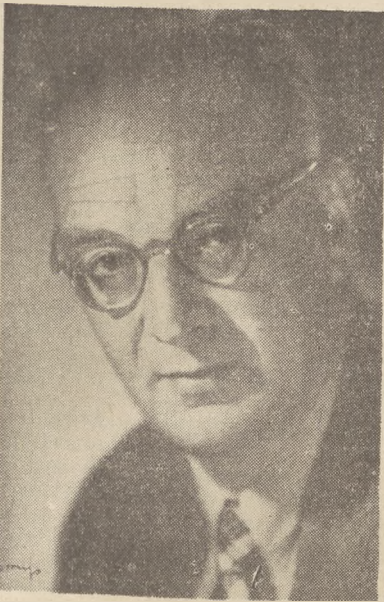
Niechże w odpowiedzi popłyną do nas ostre słowa krytyki i żądania i sprzechny czytelników. Wydawcy w ciągu dziesięciolecia mają wielkie osiągnięcia — setki milionów mają na to drukowane świadków. Tym większe jednak winny być wymagania tym mocniejszy krytyczny głos opinii publicznej przy ocenie planów wydawniczych na rok 1954.

Adam Bromberg



# Pisarze wobec dziesięciolecia

IGOR NEWERLY:



W odpowiedzi na ankietę Igor Newerly przesłał nam swój wstęp do Antologii Młodych.

Jest to zbiór rzeczy świeżych jeszcze, młodzieńców. Czy książka debiutów? Niezupełnie. Prawie wszyscy już się drukowali, drukują, niektórzy są w przededniu wydać książkowych. Nie tyle książka debiutów, ile przegląd prób, możliwości, nadziei.

Przegląd dość szeroki, skoro jest ich tu czterdziestu sześciu: poetów — 25, prozaików — 18 i satyryków 3.

Skąd przyszli, kogo reprezentują? Przede wszystkim — Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. Mamy takich Kół dziesięć w różnych miastach, razem przeszło dwustu członków. Nie stanowią, rzecz jasna, wszystkiej młodzieży literackiej, która skupia się przecież także przy redakcjach czasopism i wydawnictw. A więc i stamtąd są utwory w Almanachu Młodych.

Treść jego nie była planowana — każdy dał, co chciał. Jednakże, gdy się przebieira w tych darach młodości i uzdolnień, chcąc z obrazów, wyznań, dokumentów wyluskać w końcu, co to jest dopiero odbitka a co już sztuka? — to się widzi, jak często przegląda się w tym wszystkim dzień dzisiejszy, przemiany, zdobycze i minione drogi. Dobrze się zatem stało, że Almanach Młodych wychodzi na początek 1954 roku — w pierwszym hołdzie składanym przez literatów dziesięcioleciu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

W tym hołdzie są pierwsioński ich twórczości i pamięć trudnych szlaków, przebytych wraz z ojczyzną. Najstarsi, z rocznika dajmy na to 1926, dojrzewali w latach wojny.

Ja, syn spalonych rodziców w Oświęcimiu, po których zostały dziecięce wspomnienia, łamiąc rozpacz życia i skargę ołbrzymią, rosiem w bezdomnym, wojennym pokoleniu.

Inny poeta z tego pokolenia, rozpamiętywając swój pierwszy bój partyzancki, kończy:

Wystarczy wspomnieć — w szbach swit. O pierwaczu na egzamin! Opiaram ufnie dłoń o skrypt Jak wtedy o karabin.

Dla nich „wróg” nie jest pojęciem oderwanym. Ani — „walka”. Ani — „praca w terenie”. Aż nadto konkretne, osobiste. Jest w tym życiorys własny i wielu poległych towarzyszy...

Młodzi, z rocznika powiedzmy 1933, przeżywali to wszystko znacznie łagodniej, w normalnych latach szkoły, i walkę klasową brali po trosze na wiarę, z książek i raczej w aspekcie historycznym. Dopiero jakiś ostry konflikt wstrząsnął, uświadamiał, że — jest, trwa! Ze nie wolno tak sobie lekce i na uboczu.

I chyba właśnie wtedy zrozumiałem: na mojej ławce — trzeci rząd, przy ścianie — I, Jeszcze niesmiało, siedłem po lekcjach na pierwszym zebrań.

Mówimy wciąż o studentach, właściwie o dwóch rocznikach młodzieży chłopskiej, robotniczej, inteligentkiej na studiach wyższych: o tych, którzy w zwykłym trybie szeroko udostępnionej oświaty przechodzą po maturze do auli akademickiej, i o tych, których z aktywności pracy terenowej skierowano do U. S. P., gdzie ogromnym wysiłkiem woli, zawzięcie i na tempo zdobywali świadectwo dojrzałości. I ci, i tamci stanowią pierwsze pokolenie inteligencji, wychowanej w ustroju Polski Ludowej, przez nią i dla niej.

Trudno byłoby w tej chwili stwierdzić, czy rzeczywistość są większością wśród początkujących autorów. W każdym razie jest to grupa w Almanachu i w naszych Kółach Młodych Literatów najliczniejsza, typowa po niekąd, bo o wyrównanym poziomie kulturalnym, o podobnych dążeniach, obowiązkach, warunkach życia, o tym samym mniej więcej początku drogi twórczej poprzez pisma młodzieżowe — gazetę — tygodnik literacki...

Proba uchwycenia cech najbardziej typowych dla najliczniejszej grupy naszych debiutantów, pod pewnym względem „wyrównanej”, „podobnej” — nie powinna bynajmniej sugerować jakiegokolwiek monotonii.

Przeciwie, zarówno wewnątrz tej grupy, jak i poza nią, są różne indywidualności, o różnorodnych temperamentach i uzdolnieniach; ich koleje, bodźce, konflikty kształtujące osobowość twórczą są niekiedy tak charakterystyczne i nowe, że chcieliśmy to bodaj zgrubsza oddać w notkach biograficznych.

Materiał został przez Wydawnictwo zebrany, opracowany i... odrzucony.

Zaoponowałem, ale po przejrzeniu tych życiorysów przyznałem redaktorom słusność.

Rzeczywiście, korzyść niewielka. Czytamy, na przykład, gdzie i kiedy się urodził, uczył — zdobył maturę — wybuchła wojna, która na pozór przedkłada się u nas skończyła, więc idąc za tradycją pociągając do polskiego wojska na obcej ziemi... Wrócił parę lat temu, późno zatem, z dyplomem uczelni angielskiej, z żoną — Angielką i kalectwem odniesionym pod cudzym sztandarem. Co robił po powrocie w mieście rodzinnym, kiedy wstąpił do Koła Młodych, jak się spisał w akcji wyjazdu młodych literatów w teren w roku ubiegłym — wszystko jest w tej notce, tylko, pisarza tam nie ma.

Nie ma chociażby tego dnia, gdy leżąc w szpitalu londyńskim odkrył Hemingway’a — narkotyk cierpięcy, niebezpiecznej prozy. Zachłystnął się na amen. Bo to wszystko jakoś wtedy grało — mgła doświadczeń i w przeżośni, sala cierpień, i świat na ślepych torze, i Hemingway. A kiedy po tym wychodził o kulach, trzymał go pierwsze zamysły literackie i wiara, że on także jak Hemingway — wiara nie tylko jego, ale i dziewczyny w czepku pielęgniarki.

I nie ma nic o tym, jak długo czuł się cudzoziemcem w swoim mieście, zagubiony wśród nowych ludzi, nowych pojęć, spraw, procesów... Ile razy zdawało mu się, czytał nieufność w oczach ludzi napotkanych: — A ty właściwie skąd? Czy wiesz, cośmy tu przeżyli? Co budujemy?

Może właśnie z chęci zrozumienia i przeżywania, później z chęci współuczestniczenia, gnać się zaczął do zespolu. A więc — Koło Młodych. Wkrótce jednak Koło stało się za ciasne. Rwał się w tłum robotników, na pomoc niefachową. Wyjechał w końcu na budowę osiedli robotniczych.

W pracy potrzebnej jak tężno, rosnącej jak dziecko, wśród prostych, twardych ludzi — wiele rzeczy w człowieku lasuje się i krzepnie. I kiedy się tak stoi nad wapnem, miesząc starannie — Hemingway po prostu przekszadza. Każdy minimalista chwyciłby się raczej Maksyma, by sięgnąć po ten kunszt — prostotę sztuki budującej.

Czy tak właśnie było — notka milczy — tylko najlepsze opowiadanie napisał on właśnie wtedy, na budowie.

Gdzie indziej czytamy: urodził się w 1935 roku, środowisko inteligentkie, niegdyś zamożne, maturę zdobył mając lat 16, drukować się zaczął przed maturą, niedawno złożył tomik poezji, wydawnictwo połowę przyjęło, a na resztę postanowiło zacheć — niech źdźbko dorże. Ma teraz 18 lat. Chciałby przez rok popracować w nadleśnictwie lub PGRze...

Znów życiorys punktowany datami, garść faktów jak groch z kapustą, tak że nie wiadomo, co tu hartowało i wiodło, jakie były konflikty i rozterki.

A przecież były. Z domem chociażby. W tym domu — wiemy — czas stanął we Wrześniu i martwa tarza zegara od dawna drażniła chłopaka. Niespokojny, wrażliwy, utalentowany, nie mógł wytrwać w ciszy i bezruchu, grzeszącą twarzą do przeszłości. Wyżywał się w szkole, w ZMP, wśród literatów — cudowne dziecko Koła Młodych.

Cudowność z czasem się rozwiała pozostawiając gorzki osad.

Zaczęło się od tego, że z tak wczesną maturą nie został przyjęty na studia, a że w domu było co jeść, więc do pracy nie poszedł i tak nie ucząc się, ani zarabując, rok cały w starej glorii przeważał. Głupstw narobił nie mało w najlepszej wierze, iż stać go na to, bo i wiek już męski i wawrzyn na skroniach.

Może by i wybrał o własnych siłach. Miewał wszakże zdrowe odruchy w tym czasie. Pisywał przecież nie tylko wiersze sprężyste, ale i całkiem dobre wiersze. Brał się za reportaż, za nowelę, za sztukę. W tym rozrzuć młodych sił było szukanie siebie, chęć wypróbowania, czy potrafi? Czy aby nie tędy ma droga? A jeśli chodzi o życie prywatne, to próbował nie tylko wra i miłości, ale i pracy, chociażby pracy w świetlicach wiejskich. Coś w nim jak gdyby się ścięło i przecierało, skoro po powrocie zobaczył, jak daleko rozeszły się ich drogi, jego i ojca. Z domu wtedy poszedł.

Wiek męski, kto wie, nie rozwarłby się kłóską, gdyby nie towarzysstwo. Zupełnie nieodpowiednie dla szubaka towarzystwo „kolegów” ze Związku Literatów, starych walkoni, którzy jego próźniactwu i narowom patronowali.

A teraz, kiedy trzeba ponieść konsekwencje... Cóż, jeżeli naprawdę chce się wywać z cyganerii. za-

kosztować pospolitej pracy zarobkowej gdzieś daleko od miasta, w nadleśnictwie lub PGRze, to podobne pragnienie w kontekście przeżytych doznań wydaje się zrozumiałe i logiczne. Ma czas. Nic się nie stanie, jeśli studia rozpocznie w dwudziestym roku życia. Bogatszy o nieco inną perspektywę, dajrzalszy o cały rok skupienia i rozważli.

Albo taka notka: wiek — 20 lat, wykształcenie — szkoła podstawowa i rok mechanicznej, zawód — kierowca samochodowy.

Przytnął — pamiętam — opowiadanie z życia bazy transportowej. Starannie przepisany maszynopis wyjął z za pazuchy ostrożnie, by nie ubrudzić czarnymi od smarów paluchami i przepaszał najmocniej, że przychodzi do Związku Literatów, że zdaje sobie sprawę, jakie to jego pisanie jest nic nie warte, ale nie może się od niego odeprzeć, więc niech już mu pisarze powiedzą, raz na zawsze... itd.

Pociągnął swoją ciężarówką do Jeleniej Góry, a myśmy w Komisji Młodzieżowej czytali.

Było to jedno z najlepszych opowiadań, jakie nam się zdarzyło otrzynać.

Za wypłacone z góry honorarium „Sztandaru Młodych” wyjechał do Wrocławia, tam bowiem mógł się zamknąć w pokoju u ciotki. Pierwszy raz mieszkał sam. Czytał na zabój i pisał.

Po trzech miesiącach przyniósł maszynopis „Syberii” — o chłopaku z Marymontu, dzieje jego włości, bo to dobrze znał, sam się włościąc właściwie od 13 roku życia.

Pierwszy rozdział uderzał ogromnym jak na trzy miesiące rozwojem twórczym. Doprawdy, pojął trudno. Ze typy jedne, wyraziście — można zrozumieć: brał pełnymi garściami z tego co widział, a widział nie mało. Ze realizm niewątpliwy i urzekający jakimś ścisłym, dyskretnym nryzmem — ba, toć pisał całymi swym życiem, całą tęsknotą za lepszą, pełniejszą jego prawdą. Ale skąd u niedouczka ta bądź co bądź kultura słowa? I pewna już wytrawność artystyczna u szczeniaka, zwłaszcza w partiach najtrudniejszych dla początkujących — w opisie odautor-skim!

Niestety, znakomity był tylko rozdział pierwszy — do druku w „Twórczości”. Po tym autorowi głos się zerwał. Zgubił główny motyw, pomieszał tonację i co gorsza, zmęczony, zaczął grać niekiedy pod rektora. Sam to zresztą przyznał z zawstyżeniem. Młody — to się jeszcze wstydił, ale jak się wdroży, to z takich szluczek sztuki nie będzie.

Był po tej dyskusji bardzo zaskoczony, że Komisja Młodzieżowa przyznała mu stypendium na dwa miesiące.

Nawiasem mówiąc, stypendiów dla młodych mamy pod dostatkiem, bo i z Ministerstwa Kultury można dostać, i z Zarządu Głównego ZLP także. Zrzadka jednak sięgamy po to ostatnie, naszym zdaniem, rodzaj pomocy. Nie ze względów formalnych, że nie są jeszcze literatami zawodowymi i że Związek nie ma wobec nich żadnych zobowiązań statutowych. Bynajmniej. Powinniśmy im pomagać, ale w najważniejszym — w pracy nad sobą. Stąd nasza troska o Koła Młodych Literatów, o to, czy rosną, co tworzą, jak żyją. Kosztuje to więcej, jeśli chodzi o czas i wysiłek, niż kwit do kasy. Jednego trzeba skierować na studia, drugiemu pomóc w znalezieniu odpowiedniego zajęcia, innemu znów natychmiast skierować do sanatorium itd. Stypendia natomiast przyznajemy w wyjątkowych wypadkach, kiedy inaczej nie można.

A więc nie puściliśmy autora „Syberii” z powrotem do kierownictwa. Miał dalej pracować przez dwa miesiące, zamierzając zmieścić się w dłuższym opowiadaniu na 30 do 50 stron. Tymczasem zaszyły dwa wydarzenia, które plan ten rozsądziły.

Pierwsze: myszując po Marymontcie za brakującym materiałem, natknął się na towarzyszy z przedwojennej komórki partyjnej w Fabryce Wyrobów Blaszanych, zwanej popularnie Blaszanką. Ci dopiero dali mu materiał! Ujrzał swego bohatera w zupełnie innym aspekcie, na tle o wiele szerszym od marymontckiego, i porwał się na powieść.

Drugie: po paru miesiącach pracy zostawił Komisji Młodzieżowej do oceny spory szmat nowej „Syberii” (około 200 str.). Odkryło ją pewne wydawnictwo i zaproponowało poenną umowę, którą nasz kierownik — „w dalszym ciągu niniejszej umowy zwany po raz pierwszy Autorem” — przyjął wraz z zaliczką, jako że był po stypendium i po gotówce.

Szkoda. Za wcześnie na powieść.

Ale skoro za daleko w nią zabrnął, do połowy prawie, skoro trafił mu się wydawca jak dobry wujek, co daje miesięcznie i godzi się czekać ile trzeba na dobrą rzecz — to niech już dalej brnie ten chłopak w czepku urodzony.

Weźmy jeszcze jedną sylwetkę debiutanta o zgola odmiennej drodze do literatury.

Przed dwoma laty w Kole Młodych Literatów jednego z miast pro-

wincjonalnych rozeszła się pogłoska, że w pewnej fabryce robotnicy rozczytują się w utworach kolegi z brygady ślusarzy.

Z Kola poszli, przynieśli parę zeszytów.

Okazało się, że są to opowieści korsarskie i inne, gdzie zawsze ktoś kogoś goni, trupy gęsto padają i Miłość mknie za Przygodą pod pełnymi żaglami w krainę egzotycznej Uludy.

Pomimo całej naiwności, akcja, kreślona niezawadnie w zgodzie z gramatyką i ortografią, była jednak miejscami zajmująca i bohaterowie, choć prymitywni, baraszkowali dość swobodnie pod rozkochanym spojrzeniem autora.

— To nie jest jeszcze literatura — powiedział mu. — My też dopiero probujemy, może byście przyszli do Kola.

Ślusarz zaczął pilnie uczęszczać na dyskusje, gdzie siedział jak na niemieckim kazaniu, bo Koło z przylatującą większością poetów pracowało wówczas nieco z akademicką, badając tajniki wersyfikacji.

Najstarszy w Kole, lat trzydziestu paru (górną granicę wieku w Kółach Młodych zamyka Regulamin trzydziestką), żonaty, ojciec dwojga dzieci, robotnik bez wykształcenia, mało mówny — czuł się obco wśród wygadanej młodzi akademickiej. Czytał dalej nałogowo, coś tam w sobie ważył, bo w szkolnych jego zeszytach zaczęła się zmieniać tematyka. Pojawili się obrazy z życia fabryki, między innymi „Kotka”.

Rzecz dzieje się przy maszynie, której ślusarz jako autor nie boi się wcale, którą ogarnia spojrzeniem gospodarza, więc maszyną u niego żyje. W opowiadaniu ma własne oży, brygada mechaników po dokonanym remoncie zabiera się do uruchomienia, wtem w bębnie czy cylindrze, gdzieś bardzo głęboko, spozstrzegają kotkę z małymi. Też znalazła sobie miejsce na półog!

Chcą ją wyciągnąć lub przynajmniej wypłoszyć. Próbuja ręką i szcążką — gdzie tam! Fuka tylko i chowa się jeszcze głębiej. Skracając papierosa, zaczynają radzić, co z tym zrobić? Pusić maszyną — z kociej rodziny nawet sierści nie zostanie. Uratować, to znaczy rozmontować maszynę — to co z zobowiązaniem? Wstyd przed żoną, że niby nie wykonał w terminie, no i te kilkadziesiąt złotych premii...

Kto inny może zechciałby rozterk ich ustawić problemowo, że ta maszyną jest przede wszystkim drobniejszym elementem planu społecznego, ważniejsza zatem od głupiej kotki z małymi. Ale z drugiej strony, uratowanie kotki — rzecz ludzka, bardzo ludzka, a człowiek, wychowanie człowieka — to także plan społeczny i wielu lat nasypanych.

Na szczęście robotnicy z opowiadania nie prowadzą dyskusji pod gołym niebem, tylko pod kłosem. Kłosa się po prostu i w tej kłotni wychodzą wyraźnie, każdy inaczej. W końcu kłosek parszywie stworzenie biorą się do demontażu.

Pod wprawniejszym piórem „Kotka” w tej kompozycji stałaby się znakomitą nowelą. Tymczasem została sama kompozycja, trochę prawdziwych robotników i ogromna nieporadność pisarska. Żal do autora. Pytanie, jak mu poradzić?

W tym czasie, od lipca 1952 roku, rozpoczęła się akcja wyjazdu młodych literatów w teren. Zarówno „Kotka” jak i zagrożone gruźlicą płuca przemawiały za wysłaniem na wieś.

Po półrocznym pobycie w spółdzielni produkcyjnej pojawił się z zeszłym, za grubym na nowelę, za szczupłym na powieść. Przy czytaniu to wrażenie zaskoczenia i niepewności — co to jest? — jeszcze bardziej się potęgowało. Wymieniłte jak na początkującego, a mimo to nie do druku w całości. Miejskami świetne, miejscami nie do zniesienia. Zdumiewająca intuicja pisarska obok kompletnej nieznajomości podstawowych reguł rzemiosła... Język? Owszem, poprawny, niekiedy nawet cudzą wyświechtaną poprawnością. Ta zgoda z gramatyką i ortografią drogo jednak kosztowała.

Zaprosiliśmy go do Obór, do Domu Pracy Twórczej. Szkoda było utworu i szkoda było autora. Pewne rzeczy należało pokazać w robocie, przepracować z nim od początku do końca. I jeszcze jedno: potrzebny był mu na gwałt jakiś dowód uznania, sukces byle jaki. Gonił już resztkami sił, pisząc od lat bez żadnego wyniku, samouk, niedojda, wędug opinii ludzi z otoczenia, marnujący czas na książki i gryzmoły.

Przez osiem dni, od rana do wieczora pracowaliśmy wspólnie, zasnawiając się nad każdym zdaniem, co zostawić a co wyrzucić. O to głównie chodziło: przesiać wyrzucając wszystkie piasek, by ocalały same kruszynki szlachetnego kruszczu, który następnie powinno się oczyścić od obcych naleciałości.

Kiedysmy w ten sposób przerobili praktycznie mnóstwo abstrakcyj i kiedy zamiast 114 stron zostało tylko 45, był ślusarz, a nasz — wierz — w niedalekiej przyszłości kolega, powiedział:

— Majster, pamiętam, gadał, że uczeń trzyma trzonek przy samym młotku, terminator — już po środku, a on bierze za koniec i zawsze trafia... Chcąc mieć rękę przesunąć — ja to rozumiem, tylko to się

nie da od razu. Ja muszę sam i pomalutka. Muszę być jeszcze ślusarzem u siebie w POM...

Rzeczywiście, tak chyba najlepiej. Powinien tkwić jeszcze w swoim środowisku. Wyrwany z niego przed czasem może nie podołać, może się załamać. Powodzenie, jakie prawdopodobnie spotka jego prozę, doda mu otuchy, stworzy warunki: spokojnej pracy nad sobą. Nikt mu już nie wypomni zbytku czy dziwactwa, gdy w wolnych chwilach sięgnie po książkę albo pióro. Korespondencja z dobrym literatem, wczasy spędzane w Warszawie lub Krakowie, dużo czytania z ołówkiem w ręku i zawsze jakiś utwór własny pisany niespiesznie, z lubością, do dna, — w ten sposób za parę lat z POM wsi mazowieckiej może do nas przyjść kolega taki właśnie mazowiecki, w samym sobie dostający.

Zatrzymałem się dłużej na kilku debiutantach, żeby zobrazować jak bardzo są inni, o innych niż dawniej drogach do literatury, i odmiennych kłopotach autorskich.

Przy sposobności chciałbym zwrócić uwagę, dlaczego tak trudna jest praca z młodymi kadrami literatury. Niewiele znajdujemy tu reguły ogólnych, mnóstwo natomiast indywidualności, spraw wybitnie jednostkowych, nietypowych (których by pisarz dojrzał typowo!) — do prawdy z każdym trzeba inaczej i nie zawsze wiadomo jak.

Almanachem zajmie się nasza krytyka literacka, o Almanachu — jak planuje Wydawnictwo — pisać będą czytelnicy. Ze wszystkich stron, we wszystkich członach i aspektach będzie pokazywał i studiowany gruntownie, docieklewie — o to jestem spokojny. Zbyt dużo trosk, nadziei, budowania wiąże nas z młodymi kadrami literatury, by księgę ich zbyt zadowolonej recenzją.

Alm mówiąc o nich, jacy są, skąd przyszli, z czym się zmagają, nie można pominąć trudności samego debiutu w naszych czasach.

Na pozór brzmi to nieco dziko. Trudności? A czy w ogóle powinniśmy się zajmować początkującymi literatami wobec niesłychanie ułatwionego debiutu? W ustroju, zapewniającym twórcy wszelką pomoc i opiekę, w czasach ogromnej żyłości społecznej dla młodych, dla młodych talentów w szczególności — jedna tylko może być trudność czy wątpliwość: talent albo nie.

Tak się mówi niekiedy i nie bez racji, jeśli chodzi o zewnętrzną stronę debiutu — o możliwości druku, o pomoc materialną i moralną, o cały klimat, w którym wzrasta młode pokolenie literatów świadome tego, że są oczekiwani, są potrzebni, są w awangardzie.

Mam na myśli jednak zupełnie co innego, mianowicie sam proces kształtowania się osobowości twórczej. Pod tym względem okres dojrzewania pisarskiego nie wydaje mi się obecnie łatwiejszym. Śniem twierdzić — jest o wiele trudniejszy. I nad tym, sądzę, warto się zastanowić.

Zwaliśmy — ogarniając zgrubsza, dużymi skrótami, naszą sytuację w literaturze — zwaliśmy chociażby, jak trudną do oddania mamy rzeczywistość. Rzeczywistość na przełomie. Na przełomie epok, ustrojów, spraw, które jeszcze i które już — w przedziwnej gmatwaninie — człowieka pasjonują.

W niedalekiej przyszłości, znacząco liczbą dwa z ogonkiem, autorzy powieści historycznych wspomniac nas będą z zazdrością, żeśmy żyli w połowie wieku dwudziestego, i z pogardą, żeśmy jemu słowem nie sprościli. Jak świat światem, nie było jeszcze takiego bogactwa przemian i konfliktów i takiej — powiedzą — szarżyzny w literaturze!

Tak, łatwo mi będzie z oddalenia i o tym, co się już ukstało owalo. My piszemy z bardzo bliska, tkwiąc po uszy w aktualnościach. Piszemy na gorąco, za świeża, w czasie stawiania się czegoś, nieraz nawet do owego narodzinach, wśród sprzecznych doznań i przejawów zgadując ostateczne kształty, powiązania, rozwoju.

Trudna rzeczywistość. A czas? Czas także nieporęczny, bo mocno przyspieszony. Mniej więcej dziesięciokrotnie: tyle zmian i wydarzeń w roku, co za Prusa lub wczesnego Żeromskiego w ciągu lat dziesięciu.

Szybciej teraz żyjemy, szybciej obraca się koło historii i niełatwo nadążyć pisarzowi, który musi do gruntu pojąć swój problem, swoich bohaterów. Co tam pojąć, ra to ostatecznie nie tak wiele potrzeba czasu — ale przeżyć! Ale oż resztę pokochać i do głębi znieślić?

To się tylko czytelnikowi zdaje, od razu. Autorowi zwolna przychodzi. Rewolucja w życiu — rewolucja w literaturze. Nowa tematyka, nowe kryteria estetyczne, nowy bohater i czytelnik...

Jakże często autor zostaje sam bez poprzedników w obliczu nieznanego... Ruś pionierskim szlakiem, naglony świadomością, że przecież wzrosły wymagania. A, książki 'eraż więcej żąda się wart ci moralnych i poznawczych. Już nie wystarczy warużyć lub roze rać; za samą łzę, za uśmiech mimowolny czytelnik nie daruje braku fedyzacji. A życie stało się wartkie, splecione i rwące na wszystkie strony powodziowym nurtem. Niejeden zaginął

bez wieści. Przez ambicję, przez zachłanność poznawczą, obciążony warami realiów. Zapomniał, gdzie jest, że jest przede wszystkim artystą, i już było po nim. Tylko żal pozostał, że wszystko co dał, jest wysoco odkrywczym i budującym, jeno za ciężkie i jak nudne w większej ilości nie do zniesienia.

Jak to, powiadają naiwni naprawdę lub dla wygody — a drogowskaz? a realizm socjalistyczny?

Tak, ale realizm socjalistyczny to tylko wyliczna.

Najsluszniejsze koncepcje, najbardziej przemysłane wskazówki nie dadzą jednak nowej literatury, no wych jej wartości i siły oddziaływania. To wszystko trzeba po prostu pokazać. Przekonać zniechęlającym urokiem prawdziwej sztuki. I to potrafią tylko twórcy, wielcy twórcy. Po nich idzie łatwiej, i różniej, i szybciej jak po przetartym na oświeczonym torze.

Tak się działo dotąd — skokami, od okresu do okresu, z których każdy zwyciężał w dziełach mistrzów.

Romantyzm wdarł się Mickiewiczem. Pozytywizm Prusem... Kim otwieramy teraz, kim wieścimy nadejście nowej ery?

Uczonych w piśmie mnóstwo, biegłych sporo — mistrzów brak. I wieszczą ani slychu.

W tym słowie, używanym kiedys za bardzo, w umarumy słowie z dziesiętnastowiecza, nie ma nic a nie sarkazmu — goryczki tylko trochę i tęsknota ogromna. U nas wszystkich, mam wrażenie. A coż dopiero — u młodych! Kogo mają kochać, czcić i naśladować? Czy głos przemocy wielbić, zwalczać i z tej walki dopiero wychodzić sobą, do nikogo niepodobnym...

W takim razie, jeśli o życiu na przełomie pisać trudniej, jeśli o tegoż jeszcze klasycznych wzorów brak, to czym się literatura trzyma? Dlaczego nie zamiera, ale na przekór wszystkiemu wolnoitko, że szlag może trafić, truchciem za przemianami, jednakże się rozwija... Co tu koniec końcem pomaga?

Mnie się zdaje — świadomość. Nie, ja poważnie. Unikam na ogół słów wyartykuł, tym razem nie znajduję lepszego: świadomość wielkiego awansu społecznego, mówiąc za Putramentem. To on chyba pierwszy określił w ten sposób to, co nas, literatów, spotkało. Znaleźliśmy się raptem w awangardzie budowniczych. Inżynierami dusz! Bez szczególnych zasług, bez dyplomu nierz — na wiarę. Nie wiem, jak długo można wierzyc i czekać, ale to jeszcze trwa. Jeszcze nam ufają, spodziewają się wciąż i na każdym kroku okazują żenujące wprost dowody, że nas chcą, że jesteśmy w pierwszej linii natarcia, w centrum ofensywy kulturalnej.

O tym mówią nam masowe nakłady naszych książek. Niejeden z nas „poszedł pod strzechy” ówierz czy pół, czy nawet całym milionem egzemplarzy. Cyfry do niedawna nie do pomyślenia nawa! dla arcydzieł. Nasza zasługa? Nie — nasza wygrana. Wygrana w wyniku szerokiej akcji kultury i oświaty, rozwoju czytelnictwa, likwidacji analfabetyzmu, rozbudzonego głodu książki itd. — to każdy dobrze wie.

O tym mówią nam spotkania z czytelnikami. Jużci, żądam się Brandesem i Bobińską, te rzeczy to, bione są często na siłę i ohydnie, dla wprawek chyba w żargonie sloganowym. Ten pęd na ilość imprez literackich trzeba niewątpliwie ukończyć, same imprezy nareszcie sensownie poprowadzić — racja. Ale faktem jest, że każdy z nas przebiegając myślą setki wieczorów autorskich, znajduje dzisiaj/ki spotkań niezapomnianych, naprawdę słusznych i pomocnych.

O naszym awansie mówią nam zresztą listy czytelników. Nie tyle czytelników, ile po prostu ludzi, których coś dręczy. Jedni zwracają się, szukając rozwiązania zagadki bytu w ogóle czy tylko bytu jakiejś instytucji, a więc są listy pełne do ciekań, jak to jest we wszechświecie czy też u nich w Bożydomle chociażby. Drudzy piszą o sobie. Proszą o radę w sprawach osobistych, jaką dajmy na to obrać drogę życia? Czy to jest prawdziwa miłość, jeśli dziewczyna... itd Co robić z takim trudnym dzieckiem, które... itd. Wzruszające niekiedy naiwnym wyobrażeniem o wiedzy, o mądrości pisarza i jak nieodpowiedzialny zarzut kłujące: co zrobisz, by na to zasłużyć? Żeby bodaj w części sprostać zadaniu?

Bez tej więzi, bez współudziału w przeobrażeniu świata i człowieka, przynajmniej bez tych ambicji, byłoby z nami jeszcze gorzej.

Mimo woli, prawem kontrastu, staje przed oczyma sytuacja w literaturze powszechnej z pierwszej połowy ubiegłego wieku.

Wszędzie, we wszystkich niemal krajach, nowy wiek strzelał geniuszami, i to nie jednym, ale zawsze dubiami: Goethe i Schiller, Byron i Shelley, Hugo i Balzak, Mickiewicz i Słowacki, Puszkini i Lermontow... Niepowtarzalny, złoty wiek literatury, zwłaszcza rosyjskiej, wiek — fenomen... A teraz? co u licha — drzewko się wysyliło czy schodzimy

(Dokończenie na str. 6)



Publikujemy poniżej fragmenty niektórych wypowiedzi dyskusyjnych na zorganizowanej przez redakcję „Nowej Kultury” w dniu 4.1.84 r. naradzie, poświęconej sprawie wychowania młodzieży. Zdajemy sobie sprawę, że znaczenie materiału, którego dostarczyła sama narada, polega przede wszystkim na zasygnalizowaniu licznych zagadnień, których bardziej wyczerpujące potraktowanie i uporządkowanie winna przynieść dalsza dyskusja. Toteż w najbliższej przyszłości postaramy się szereg artykułów na łamach naszego pisma poświęcić problemom, które wyłoniła dyskusja na naradzie. Wszystkich naszych czytelników interesujących się problemem młodzieży prosimy o udział w dyskusji i nadesłanie swoich uwag związanych z poruszonymi w jej toku sprawami.

## Tu trzeba apelować do całego społeczeństwa

Sprawa jest ważna. Chodzi o naszą młodzież. Jeżeli zebrał się tu tak licznie na tę naradę — to dowód, że zdajemy sobie sprawę z ważności sprawy. Kilka tygodni temu byłam na konferencji zwołanej przez Dzielnicową Radę Narodową „Praga - Południe”. Na porządku dziennym stało sprawozdanie z wyborów do Komitetów Rodzicielskich. Ale sprawa wyborów zeszła od razu na plan dalszy. Mówiono wyłącznie o tym, jak walczyć z chuliganizmem w szkołach. Jeden z nauczycieli powiedział: „S a m i n i e p o r a d z i m y , t u t r z e b a a p e l o w a ć d o c a ł e g o s p o ł e c z e ń s t w a”. Ten apel musi być usłyszany. Przede wszystkim musi być usłyszany przez nas, pisarzy. Kontakt pisarzy z młodzieżą musi być inny. Tradycyjne „spotkania pisarzy z młodzieżą szkolną” stały się szablonowe, czysto formalne. Pisarz otrzymuje bukiet, związany czerwonym wstążką, a młodzież — kupę autografów. Pozostają sobie równie dalecy i obcy jak byli. Nie umiemy wyzyskać tej naturalnej więzi, która tworzy się między autorem i czytelnikiem. Może należałoby rozbić ciasne ramy tych spotkań. Dlaczego mówimy z młodzieżą wyłącznie o „naszych” książkach? Młodzież ma mnóstwo pytań i problemów — chciałaby o nich something powiedzieć, z kimś „mądrym”, z kimś, komu ufa. Tym „kimś” powinien być pisarz. Może należałoby przyjąć do tej młodzieży właśnie na dyskusję — albo wyciągnąć ją na dyskusję. Ale to jest trudne — bo już utworzył się pewien szablon „spotkań”, który w tym przeszkadza. Ten szablon trzeba rozbić. Na owej konferencji dzielnicowej na Pradze wypowiadano wiele zarzutów przeciwko roli ZMP w szkołach. Trzeba sobie powiedzieć otwarcie: szkolna organizacja ZMP nie zawsze dobrze spełnia swoją rolę w szkołach. Trzeba młodzieży w tym pomóc. I tu możemy sobie zadać pytanie: „co robi nasze społeczeństwo, aby pomóc w wychowaniu młodzieży”? Nic. Albo prawie nic. Istnieje u nas dziwna w tym kierunku obojętność.

Byłam w Związku Radzieckim, przebyłam tam wszystkie lata od 1918 roku, z małą przerwą, najgorsze lata walki z bezdomnością, z chuliganizmem. Wiem dobrze, jaką rolę odegrał tam Makarenko, Dzierżyński. O tym nie będę mówiła. Potem nie było już bezdom-

nych dzieci, jak i u nas nie ma. Lecz były dzieci, z którymi szkoła nie mogła sobie dać rady.

Co robiono? Był taki pisarz w ZSRR, dawny marynarz, 20 lat żeglował po wszystkich morzach. Kiedy wybuchła rewolucja, szalupa przyjechała do Taganrogu. Pisał opowieści morskie dla młodzieży. Chodził w mundurze, miał stopień kapitana.

Zebyszy wiedzieli, jakich cudów on dokonywał! To był mój bliski przyjaciel.

Szkola, która nie mogła sobie dać rady z młodzieżą, dzwoniła — „to-warzyszu Bywałow, przyjdźcie do nas, ręce nam opadają”.

Przychodzi do klasy, gdzie było 9 — 10 chłopców, z którymi żaden nauczyciel nie mógł sobie dać rady. Samą postacią marynarską, wspaniałą postacią starego wilka morskiego czarował wszystkich.

Wiemy, że żył pisarz radzieckich z młodzieżą nie tylko polega na tym, że przychodzi i mówi o książkach. Mówią o wszystkim, czym ta młodzież żyje. To jest wpływ wychowawczy. U nas — nie tylko, że nie ma takiego Bywałowa, ale — prawdę powiedziawszy — nikt z dorosłych pisarzy, którzy sami mają dzieci, nie interesuje się absolutnie dziećmi. Literatura piękna jest o b r a z e m naszego życia. Nasza literatura piękna jest b e z d z i e t n a. Próżno szukamy w niej dzieci. Ostatnio Brandys dał dowód odwagi cywilnej — pierwszy wprowadził do literatury pięknej m ł o d z i e ż s k o ł n ą — co prawda głównie z XI klasy. Ale i to jest nowością w naszej literaturze. Można by rzec, że pisarze nie widzą dzieci, wśród których żyją. Nasza literatura wyborowo obchodzi się bez dzieci. Dzieci nie stały się jeszcze „typowe” i żaden redaktor nie szuka ich jeszcze w książce. Ale życie natarczywie wysuwa problem d z i e c k a , problem w y c h o w a n i a , problem m ł o d z i e ż y .

Zadna dyskusja, żaden referat, nawet n a j d ł u ż s z y , nie zatłumi tego problemu. Pisarz musi wyjść mu n a p r z e c i w , jak wychodzi naprzeciw innym n a j w a ż n i e j s z y m problemom naszego życia.

Każdy z nas powinien się zastanowić nad tym, jak się zbliżyć do młodzieży, jak pomóc szkole.

Coś tu trzeba zasadniczo zmienić.

Helena Bobińska

## „Trudna” młodzież z Targówka

W maju tego roku objąłem kierownictwo Domu Kultury na Targówku. Dostałem się do wylegarni tzw. bikiniarzy, kociaków, chuliganów prawdziwych i z nazwy, dostałem się do ojczyzny Teosia Piecyka.

Pierwsi bywalcy świetlicy przy Domu Kultury przyszli w czapkach na głowach, z włosami w „mandolinie”, z rękami i kartami w kieszeniach. Przyszli do nowych, imponujących jak na Targówkę murów z wiarą, że będzie coś „w deche” i z obawą, aby nie krzyknąć „im nad uchem coś w rodzaju: śmierć bikiniarzom”. Zaczeliśmy pracę. Na pierwszej pogadance wybadalem ich zainteresowania i życzenia. Co chcieliby mieć w pierwszym rzędzie? Powiedzieli krótko: kino i mecze bokserskie. Przyszłemu kinu, meczom bokserskim później. Wyszukałem młodego, pełnego zapалу instruktora W.F. B. z rodem z Targówka, miał tutaj wielu kolegów, opanowany słownikiem tutejszej młodzieży i znajomości miejscowych obyczajów. Zgromadziliśmy sprzęt sportowy. I tak powstała Sekcja Sportowa mająca koła: piłki ręczne, tenisa stołowego, szachów i warcabów. Zaczął się gromadzić pierwszy, bardzo jeszcze kruchy kolektyw, z którego mieliśmy czerpać chętnych do dalszych, już kulturalno - oświatowych zespołów: teatralnego, tańca i śpiewu.

Już w czerwcu wspólnym wysiłkiem zrobiono boisko do siatkówki, społecznie obsługiwano urządzenie adapterowe, społecznie dokonywano drobnych napraw i uzupełnień w urządzeniu. Coraz bardziej zaczynało pojmować znaczenie słów powiedzianych na pierwszym spotkaniu: to jest wasz Dom Kultury i od was zależy jego przyszłość. I w tym pierwszym, gorącym, organizacyjnym okresie zacząłem szukać i znajdować w tych zawodniczkach, chuligańskich z pozoru sylwetkach, prawdziwych ludzi, słysząc „warszawskom mowom” powiedziane a jednak ciekawe zdania, poznawać ich ambicje i pragnienia, nawyki i zakorzenione wady. I pierwsza, niemal automatyczna myśl z doświadczeń mego mistrza Makarenki — obdarzyć zaufaniem, zapomnieć o przeszłości tych ludzi, przyjąć całym sercem pod dach Domu Kultury. I okazało się, że ta myśl była jedynie słuszną, decyzja wtedy podjęta już w niedługim czasie zaczęła wydawać owoce.

Jak duże znaczenie miała taka metoda na kształtowanie się psychiki tej trudnej młodzieży i jak często zbroczenie z raz obranej dro-

gi powodowało konflikty, niech świadczyć przykłady z pierwszych miesięcy naszej pracy. Pewnego dnia, przed niedzielnym koncertem, zostałem zaalarmowany wiadomością, że w piwnicy Domu Kultury paru wyrostków z premedytacją tłucze stojące tam okna. Cicho skradając się ciemnym korytarzem zdołałem pochwylić jednego z nich na tzw. gorącym uczynku. Wprowadziłem go przed Dom i w obecności licznie zgromadzonych jego kolegów i rówieśników wytłumaczyłem cały bezsens takiego postępowania, bazując na twierdzeniu już nie społecznej (bo było to za trudne) ale jego własności. A więc: twój dom, twoje szyby i w nim jak nie będzie szyb w piwnicy zamarną rury centralnego ogrzewania i trzeba będzie zamknąć twój dom itd. Chłopak rozplakał się, przyrzekł poprawę. Do dzisiaj przychodzi do nas, korzysta z urządzeń Domu, jest poprawnym jego bywalcem. W parę dni później, już prawdopodobnie w konsekwencji tego wydarzenia, grupa chłopków przyprowadziła do mnie swego kolegę, który nieumyślnie zresztą zbił szybę w drzwiach wejściowych. Nie chcąc demobilizować postawy moich młodych pomocników, zamknąłem „winowajcę” w jednym z pokoi Domu Kultury i polecilem najbliższemu kolegom „aresztowanego” sprowadzić jego matkę. Naturalnie matki, pod pretekstem, że nie ma jej w domu, nie sprowadzono, a młody winowajca w międzyczasie uciekł, skacząc z półpietra przez okno. Od tej chwili nie widziałem go więcej w Domu Kultury. Za cenę jednej szyby okiennej stracił miś z oczu człowieka, a raczej człowieka, z którego byłby bez wątpienia człowiek. I kto wie, czy ten chłopiec nie zasilł szeregów typowych „chuliganów”, sprzedających pod kinem bilety.

Przytoczone przeze mnie wyżej fakty, z krótkiej wprawdzie, ale praktyki, utwierdziły nas w przekonaniu, że metody Makarenki należy jak najszerzej stosować w życiu praktycznym, że „Poemat Pedagogiczny” to naprawdę złota księga mądrości dla wszystkich tych, którzy za cel swego życia postawili wychowanie nowego człowieka z dzieci, lub młodzieży, która w następstwie smutnej przeszłości kapitalistycznej gospodarki miała niesieć się urodzić się w dzielnicach, gdzie rządziło prawo pięści głodnego człowieka, gdzie alkohol zabijał troskę o dzień jutrzejszy, gdzie jedyną władzą był nierządek i gość — policjant z pałką.

I dlatego, doceniając w pełni znaczenie wszystkich innych środków walki z chuliganizmem, mam wrażenie, że naczelnym zadaniem przy rozwiązywaniu tego niezmiernie ważnego zagadnienia, będzie budowa i rozwój placówek masowej rozrywki, domów kultury, świetlic, boisk, kół sportowych i zapełnienie tych placówek ludźmi, którzy nie wpadając w panikarskie nastroje z racji „zalewu chuligańskiego”, zabrałby się w praktyce do realizacji zasad socjalistycznej pedagogiki i z umiłowaniem swego zawodu zdrapywali cienką nieraz nazwę „chuligan” z czegoś, co mimo wszystko okaże się prawdziwym człowiekiem.

Dlatego ja bym apelował — ponieważ jest tutaj dużo przedstawicieli prasy i literatów — o poruszenie tej sprawy w swoich pracach. Chodzi o to, że my na Targówku w tych specyficznych kołach odczuwamy jedno — jest to młodzież, która by się czymś zajęła. Można by ich odciągnąć od rogów ulic, sprzed kin, gdyby się z

## Z doświadczeń reportażysty

Słuchając dyskusji, zastanawiałem się, jaką rolę w zwalczaniu wad i złych nawyków części naszej młodzieży może odegrać twórczość literacka. Jakimi mamy tworzyć książki, aby najsilniej i najlepiej oddziaływać na młodego czytelnika? Co było główną wadą dotychczasowych książek dla młodzieży i w jakim kierunku powinny pójść zmiany?

Aby nie pomnażać liczby teoretycznych referatów na ten temat, ograniczę się do przytoczenia dwóch praktycznych przykładów, zaczerpniętych z doświadczeń reporter- skich.

Pierwszy z tych przykładów — to małeżki reportaż z rozprawy przed sądem dla nieletnich. Piętnastoletni chłopiec, wystany przez matkę po zakupy do spółdzielni spożywców, skorzystał z nieuwagi kasjerki i wyciągnął z otwartej szuflady kasy paczkę banknotów, zawierającą sumę dziesięciu tysięcy złotych. Po wyjściu ze sklepu chłopiec podzielił się skradzionymi pieniędzmi z pięcioma kolegami. W rezultacie cała sześciuosobowa paczka stanęła przed sądem dla nieletnich — jeden pod zarzutem kradzieży, reszta pod zarzutem paserstwa.

W sądzie dla nieletnich, jak wiadomo, moment wychowawczy odgrywa rolę zasadniczą. Dlatego członkowie kompletu orzekającego starali się przede wszystkim uświadomić małoletniemu przestępcy szkodliwość ich czynu, przebić chłodną skorupę ich obojętności, wywołać w nich skruchę.

W składzie sądu zasiadało dwóch ławników — przedstawicieli tzw. czynnika społecznego. Obydwaj mieli niewątpliwie jak najlepsze intencje, ale byli to ludzie różni i niejednakowa była ich znajomość duszy dziecięcej. Dlatego wybrali różne sposoby oddziaływania na podsądnych. Pierwszy z ławników powiemy: „Czy wy wiecie, coście uczynili. Okradliście państwo. Okradliście całe społeczeństwo. To jeszcze gorzej niż okraść pojedynczą osobę. W głosie ławnika, kiedy to mówił, brzmiało najsilniejsze przekonanie i oburzenie, lecz jego wywód — niezależnie od swej niesłuszności — był zbyt teoretyczny na to, aby poruszyć wyobraźnię małych podsądnych. Zachowali też wobec niego kamień chłod.

Drugi ławnik postąpił inaczej. Powiedział do chłopców tak: zabraliście z kasy dużą sumę pieniędzy, lecz czy zastanowiliście się nad tym, w jak straszliwej sytuacji znalazła się biedna kasjerka, która tej sumy nie miała z czego pokryć? Przecież ta nieszczęsna kobieta, która ma może synów takich jak wy, mogła pod wpływem rozpaczliwej potrzeby samobójstwa!

Ten drugi ławnik umiał przemawiać do młodych serc. Jego uczuciowy, konkretny, łatwo trafiający do wyobraźni argument w jednej chwili przebił ochronną warstwę sztucznej obojętności. Popłynęły dziecięce łzy.

Przykład drugi. Te historyjkę opowiedział mi pewien stary doświadczony kierownik wiejskiego Domu Dziecka.

## Praca dla młodzieży obowiązkiem literatury

Chciałbym w przemówieniu swoim mówić o tej młodzieży, która w pierwszym rzędzie buduje naszą rzeczywistość, tj. o młodzieży robotniczej. Młodzież robotnicza stanowi przynajmniej większość naszej młodzieży. To jest ta młodzież, która daje normy w zakładach pracy, która buduje Nową Hutę, która tak samo marzy i myśli, jak młodzież naszych szkół, która ma swoje ideały. O tych ideałach musimy mówić, musimy tej młodzieży ukazać pozytywnego bohatera, musimy tej młodzieży stworzyć jej dom, ten często jeszcze nie najlepiej funkcjonujący Dom Młodego Robotnika, uczynić go takim, żeby stał się on naprawdę jej własnym domem.

My tego jeszcze niestety nie umiemy dobrze robić, ale umiemy — i z tego jesteśmy dumni — porwać młodzież do współzawodnictwa. Nasze brygady ZMP i młodzieżowe po całych dobach nie schodzą z rusztowań, pracują po bohatersku. Nie umiemy jednak o tym mówić. Mówimy o tym sucho, często z trybuny, że np. brygada Niewiadomskego dała 250 proc. normy, nie umiemy ukazać patosu tego bohater-

czymś do nich przyszło. Sami niechętnie pójda. Sport ich pociąga, ale młodzież z Targówka, która się pali do boksu i szermierki, nie przyjdzie do sekcji ćwiczącej np. na Foksal. Niechętnie jedzie do Warszawy. To już taki szowinizm dzielnicowy.

Jedyna droga — to Domy Kultury i świetlice. Na odcinku świetlic sytuacja wygląda katastrofalnie. Mamy drużynę tenisa stołowego, która bierze udział w rozgrywkach warszawskiej B-klasy, mamy mecze wyjazdowe, ja z nimi jeżdżę. Większość świetlic jest dla wąskiego koła, w zakładach zamkniętych, gdzie trzeba się zapisywać na listy, brać przepustki na teren fabryki, lub biura.

Trzeba rozbudować sieć Domów Kultury, przyjąć do młodzieży z sekcjami sportowymi, dać im jak najbardziej atrakcyjne rozrywki. To by ich odciągnęło od drogi prowadzącej na manowce do chuliganstwa. A o to przecież nam chodzi.

Remigiusz Szczęsławicz

Do tego wzorowego Domu Dziecka przysłano zgrana paczkę czterech młodych chuliganów. Banda ta od pierwszej chwili poczęła siać szkodliwy ferment w zdrowej społeczności. Kierownik był jednak doświadczonym wychowawcą i zdołał młodych warcholów okiełznać. Kiedy zrozumieł, że z kierownikiem żartów nie ma, pozornie przychli, ale postanowili „odegrać się” w inny sposób.

Zona kierownika, także osoba starsza, zdołała ośwoić sobie wiewiórkę. Wiewiórka ta wychodziła dwa razy dziennie z lasu i jadła z ręki swej opiekunki. Zona kierownika ochrzciła wiewiórkę imieniem Kubus — inni mieszkańcy Domu nazwali ją po prostu „wiewiórczakiem”. „Wiewiórczak” stał się ulubieństwem całej kolonii. Nazajutrz po „uśmierzeniu” chuliganów, zona kierownika wyjechała na kilka godzin do miasta, zlecając mężowi nakarmienie Kubusia o zwykłej porze.

Ala tym razem Kubus nie wyszedł z lasu na pierwsze wołanie! Wyszła dopiero w godzinie późnej. Ale w jakim stanie! Biedne zwierzątko miało pogruchotany kregosłup i zmiażdżone łapki. Doczołgało się do nóg kierownika i tam skonało.

Śmierć „wiewiórczaka” zawisła nad mieszkańcami Domu Dziecka jak gradowa chmura. Społeczność kolonijna popadła w krawców wzburzenie i zdenerwowanie. Nikt nie miał wątpliwości, kto zamęczył zwierzątko, ale nie było na to żadnych dowodów. Kierownik postanowił nie wyszczyniać śledztwa. Chciał ukryć śmierć „wiewiórczaka” przed żoną. Była chora na serce.

Wydało się, że sprawcy okrutnego wybruku nie zostaną wykryci. Ale stało się inaczej.

Zona kierownika nie wiedziała o śmierci Kubusia i nie chciała pogodzić się z utratą ulubionego zwierzątka. Dlatego wywoływała je długo i uparcie. Trzy razy dziennie przez trzy kolejne dni z ganku Domu Dziecka rozlegało się przeciągłe wołanie: Kubuu-u!!! Ku-u-ubu!!! Kuuuubu!!! Na to wołanie sto dzieciennych serc zamierało w strasnym wzruszeniu. Wreszcie trzeciego dnia stało się to, co się musiało stać.

Trzej chuligani przywiekli przemocą czwartego i rzucili go do nóg wołającej. To był morderca „wiewiórczaka”.

Czego dowodzą te dwa przykłady? Wybrałem je specjalnie z pogranicza kryminalistyki, gdyż pragnąłem wykazać, że nawet wśród dzieci najgorszych nie ma dzieci tak złych, aby nie można na nie oddziaływać właściwymi bodźcami wzruszeniowymi.

I wydaje mi się, że zasadniczym błędem naszej dzisiejszej literatury dla młodzieży jest właśnie to, że literatura ta stara się wychowywać drogą pouczania, a nie drogą wzruszania. Bo literatura, która tylko mówi o pozytywnych rzeczach, nie może spełnić swoich zadań wychowawczych. Dobrą literaturą wychowawczą będzie dopiero ta literatura, która potrafi wywoływać pozytywne wzruszenia.

Marian Brandys

## Praca dla młodzieży obowiązkiem literatury

stwa, my, pracownicy aparatu ZMP. I wydaje mi się, że mamy prawo żądać, nie prosić, tylko żądać, aby nasi literaci nam pomogli. My nie umiemy tego robić, u nas wychodzi to jakoś sucho, nudno.

Zdarza się często, że nasze referaty są długie i nudne, sztaprowe, że operują frazesami, ale nie wolno zapominać o jednym: że autor takiego referatu często w ten sposób niezbyt udolnie wypowiada jednak swoje szczerze uczucia. Nie umiemy inaczej mówić.

Zdaje się, że mamy prawo żądać od naszych literatów, naszych dziennikarzy, pracowników Radia, ażeby nam w naszej robocie pomogli. To nie jest sprawą, którą sobie wykoncypowaliśmy, żeby — zamiast się bawić w dzień święta — posyłać młodzież robotniczą na posterunki do fabryk. Jeżeli chce nam się zbierać różnego rodzaju ciekawostki, sensacyjki — to musimy zdawać sobie sprawę, że jest to produkt uboczny walki klasowej, pozostałości rozkładającego się świata.

Walka się nie skończyła, powinniśmy — jak mi się wydaje — rozpatrzyć nasze prace, jako sztab, któ-

ry rozpracuje poszczególne odcinki uderzenia na front. Nie możemy zapominać o tych tysiącach ludzi, którzy z automatami, pepesami w reku ginie przy boku Partii w Polsce. Czy nie są to przykłady naszych bohaterów? Kto o nich napisze? My tego nie potrafimy. Mogą to zrobić dobrzy literaci, a takich nie brak. Kto ma mówić o tych bohaterach, którzy walczyli na froncie produkcji?

Dlatego tak nas zdenerwował ten pamiętnik uczennicy w „Nowej Kultury”? Czy to, o czym pamiętnik ów mówi rzeczywiście, nie jest możliwe? Czy nie znalazłaby się tego rodzaju dziewczyna — nie jedna, ale sto, tysięcy? Są tego rodzaju ludzie, ale przecież teraz, w tej chwili

Przyszedł do zarządu ZMP w Nowej Hucie jeden literat krakowski i mówi: — mam pewną rzecz o młodzieży, skończylem, chciałbym wydać, ale jeszcze jednej sprawy nie rozumiem, chciałbym żeby mi wytłumaczyć, jaka jest rola ZMP i Partii w wychowaniu młodzieży. Gdyby to było w moich opowiadaniach, to już mogłyby iść do druku. Opowiedzieć, jak wyglądała ta rola, jak wygląda w życiu, w Nowej Hucie.

Ten przykład nie świadczy, że takie same trudności w zrozumieniu roli ZMP i młodzieży mają wszyscy literaci, tak nie można uogólniać, tak samo jak nie można uogólniać sytuacji wśród ZMP i młodzieży na podstawie tych faktów, jakie były przytoczone w dyskusji. Gdyby się przyprowadziło na tę salę jedną z naszych brygad, brygadę Pałaka, która pracowała ciężko przy betonowaniu obiektu 210, to może powiedziałaby, że trzeba iść skończyć betonowanie. Takie jest moje wrażenie. Nie chcę występować w obronie i usprawiedliwiać braki ZMP. Są poważne braki.

Weźmy przykłady. Byłem niedawno na akademii, gdzie były rozdawane odznaczenia dla przodowników. Siedzi taki jeden z nowych, nieznanych dotychczas przodujących robotników — tokarz, Kowalski i spodziewa się, że otrzyma wyróżnienie, nagrodę; co więcej, pochwał i się już wcześniej przed matką i siostrą, że na pewno przyjdzie z odznaką. Tymczasem odznaki nie dostaje. Mamy dwie strony zjawiska — ZMP spełniło poważną rolę w atomiku do Kowalskiego, bo stał się przodownikiem. Ale jest i druga strona, zła — że nie wniknęli w to, jak wysoko sobie cenil przodownictwo, że zalał się, jeżeli się nie weźmie pod uwagę jego zasług, nie powie się o nim ludziom. Szedł do domu zmartwiony.

Były więc osiągnięcia w pracy z Kowalskim, ale nie doprowadzono do końca pracy z tym człowiekiem.

W Domu Młodego Hutnika mieliśmy taki kłopotliwy wypadek: młody chłopiec w szkole SPZ oddużym zainteresowaniu do techniki znalazł stare radio, chciał zmontować z niego nowe, nie tylko dlatego, że chciał mieć radio, ale dlatego, że miał ambicję, że chciał sprawdzić własne siły, własną wiedzę. Ponieważ potrzebny był kabel, więc przyniósł kabel z zakładu pracy.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Gdzie tu dobre, a gdzie złe? Dobre, że rozwinął się jego techniczne zainteresowania, ale złe, że niekonsekwentna jest praca organizacji, że nie zapewniono młodemu człowiekowi o zainteresowaniach technicznych warunków do tego, żeby jego zainteresowania mogły się rozwijać; dlatego potrzebny był nie protokół i nie prokurator, lecz warunki umożliwiający chłopcu rozwój zainteresowań.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Gdzie tu dobre, a gdzie złe? Dobre, że rozwinął się jego techniczne zainteresowania, ale złe, że niekonsekwentna jest praca organizacji, że nie zapewniono młodemu człowiekowi o zainteresowaniach technicznych warunków do tego, żeby jego zainteresowania mogły się rozwijać; dlatego potrzebny był nie protokół i nie prokurator, lecz warunki umożliwiający chłopcu rozwój zainteresowań.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

il, najważniejsze jest — dla nas przynajmniej — zabrać się całą siłą, całą naszą energią do innych spraw, zwracać się frontem do produkcji, na wieś.

Idziemy na wieś, potrzebne nam dobre teksty sztuk świetlicowych. Kto ma je pisać? Przecież nie powiemy młodzieży, że nie umiemy. Zwracamy się tutaj śmiało z zadaniami pod adresem pisarzy, bo sam niedłukrotnie stykałem się z tym zadaniami ze strony młodzieży.

Dyskusja da bardzo duże rezultaty, jeżeli rzeczywiście każdy z nas na swoim odcinku weźmie się do roboty. Wtedy z naszą młodzieżą możemy rzeczywiście dokazać wielkich rzeczy.

Herbert Goldberg

## Jak pracujemy z młodzieżą w Nowej Hucie

Mówiono tu o ZMP, więc ja pozwolę sobie przytoczyć przykład z życia literatów.

Przyszedł do zarządu ZMP w Nowej Hucie jeden literat krakowski i mówi: — mam pewną rzecz o młodzieży, skończylem, chciałbym wydać, ale jeszcze jednej sprawy nie rozumiem, chciałbym żeby mi wytłumaczyć, jaka jest rola ZMP i Partii w wychowaniu młodzieży. Gdyby to było w moich opowiadaniach, to już mogłyby iść do druku. Opowiedzieć, jak wyglądała ta rola, jak wygląda w życiu, w Nowej Hucie.

Ten przykład nie świadczy, że takie same trudności w zrozumieniu roli ZMP i młodzieży mają wszyscy literaci, tak nie można uogólniać, tak samo jak nie można uogólniać sytuacji wśród ZMP i młodzieży na podstawie tych faktów, jakie były przytoczone w dyskusji. Gdyby się przyprowadziło na tę salę jedną z naszych brygad, brygadę Pałaka, która pracowała ciężko przy betonowaniu obiektu 210, to może powiedziałaby, że trzeba iść skończyć betonowanie. Takie jest moje wrażenie. Nie chcę występować w obronie i usprawiedliwiać braki ZMP. Są poważne braki.

Weźmy przykłady. Byłem niedawno na akademii, gdzie były rozdawane odznaczenia dla przodowników. Siedzi taki jeden z nowych, nieznanych dotychczas przodujących robotników — tokarz, Kowalski i spodziewa się, że otrzyma wyróżnienie, nagrodę; co więcej, pochwał i się już wcześniej przed matką i siostrą, że na pewno przyjdzie z odznaką. Tymczasem odznaki nie dostaje. Mamy dwie strony zjawiska — ZMP spełniło poważną rolę w atomiku do Kowalskiego, bo stał się przodownikiem. Ale jest i druga strona, zła — że nie wniknęli w to, jak wysoko sobie cenil przodownictwo, że zalał się, jeżeli się nie weźmie pod uwagę jego zasług, nie powie się o nim ludziom. Szedł do domu zmartwiony.

Były więc osiągnięcia w pracy z Kowalskim, ale nie doprowadzono do końca pracy z tym człowiekiem.

W Domu Młodego Hutnika mieliśmy taki kłopotliwy wypadek: młody chłopiec w szkole SPZ oddużym zainteresowaniu do techniki znalazł stare radio, chciał zmontować z niego nowe, nie tylko dlatego, że chciał mieć radio, ale dlatego, że miał ambicję, że chciał sprawdzić własne siły, własną wiedzę. Ponieważ potrzebny był kabel, więc przyniósł kabel z zakładu pracy.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.

Chłopiec w dobrej intencji chciał być radioamatorem i popadł w kłopot z prawem.



# o m ł o d z i e ż y

czuje?“. Ambitne zadanie umiejętności wyrażania swoich uczuć, stawiał Kalinin przed całą młodzieżą. Dlatego wydaje mi się, że nie ma racji tow. Goldberg, kiedy oświadcza: my działacze, mówimy szampa, lecz wy, mistrzowie słowa, powiedziecie to w sposób bardziej „uskrzydłony“.

Zdaje się, że źródła sztampy są wspólne — dla Związku Literatów i dla ZMP, dla kierownictwa młodzieży i dla kierownictwa Związku Literatów, dla nas wszystkich.

Skąd się szampa bierze? Z oderwania od terenu, od ludzi. Szampa rodzi się stąd, że nie potrafimy mówić do młodzieży językiem jej doświadczeń, jej bohaterstwa. Dlatego często młodzież nie lubi swego kierownictwa. Tym faktem czuję się podwójnie uderzony — jako działacz młodzieżowy, odkomenderowany na odcinek pracy pisarskiej.

Sprawa młodzieży robotniczej i szkolnej nie jest sprawą jakichś drobnych kategorii młodzieży. Godzę się z tow. Goldbergiem, że o obliczu młodzieży decyduje młodzież robotnicza, ale nie rozumiem tego w sposób „wąskoresortowy“.

Nie można przeciwstawiać młodzieży robotniczej, synów przodni-

ków pracy, którzy się uczą w naszych szkołach na wszystkich szczeblach, młodzieży chłopskiej, dzieci spółdzielców, które często na uniwersytecie ulegają presji drobno-mieszczanśkiej, synom wiejskich muzykantów, skrzypków, którzy są często w naszych Konserwatoriach! Z tej młodzieży rekrutuje się aktywni, którzy pójdzie do świetlicy, który będzie przewodził na świetlicowych zebraniach, wygłaszał wiersze, pomagał w zorganizowaniu przedstawi-

Zdaje mi się, że kierownictwo naszej młodzieży nie zdaje sobie sprawy z samej treści też KC Partii. Mówiąc o Pałacu Kultury i Nauki nie zwraca się uwagi na to, że nim zbudowano najwyższe piętro, już były elewacje. Może mogło to szokować tych, którzy nie znają nowoczesnych metod budownictwa, że robiono elewacje, mimo że nie było jeszcze 32 pietra żelaznej konstrukcji. Myślę jednak, że organizując życie naszej młodzieży nie można dziś zapomnieć o konieczności równoczesnego traktowania najistotniejszych problemów naszej walki, udziału tej młodzieży w wielkim wysiłku budownictwa i wychowania tej młodzieży, oddziaływania na jej uczucia.

Arnold Slucki

## Głos pedagoga

Chcę powiedzieć parę słów o reakcji młodzieży szkolnej na pamiętnik wydrukowany w „Nowej Kulturze“. Sam fakt ukazania się tego pamiętnika wywołał zdumienie. Młodzież szkolna uważa, że istotnie jest wśród młodzieży sporo osobników podobnych do autorki pamiętnika. Ale równocześnie młodzież aktywna, ZMP-owska, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa publikacji. „Nowa Kultura“ jest pismem, z którego się uczniowie wiele dowiadują, z którego się uczą. Otóż może się zdarzyć, że uczeń po przeczytaniu takiego pamiętnika potraktuje jego treść jako przykład do naśladowania. Tym więcej, że wstęp redakcyjny odniósł się do autorki pamiętnika z zapalem, czyniąc z niej typową przedstawicielkę młodzieży.

Nie jest słusznym mówić, jakoby całą młodzież była młodzieżą zagrożoną. Wcale tak nie jest. Charakter młodzieży szkolnej zależy od aktywności organizacji młodzieżowej, od pracy nauczycieli, od rodzaju zajęcia rodziców. My, nauczyciele, patrząc na naszą młodzież, nie mamy przekonania, że góruje i przewodzi młodzieży banda chuliganów.

Jeżeli były pod adresem działaczy ZMP zarzuty, to trzeba powiedzieć, że i my, nauczyciele, mamy szereg pretensji do instancji organizacyjnych ZMP, że czytamy z troską nie-

kóre artykuły w „Sztandarze Młodych“, interweniujące w konkretne szkolne sprawy niesłusznie, bez zbadania stanu rzeczy na miejscu. Lecz można mówić i o dodatnich przykładach pracy „Sztandaru Młodych“, kiedy w jego artykułach znajdujemy omówienie różnych spraw zasadniczych.

Ostatnie dyskusje w prasie na temat szkoły, pomagają nam w pracy z młodzieżą, bo dają możliwość wykazania wielu zagrożeń i niewłaściwości. Zarazem jednak dyskusje te, sprawozdania z wyczynów chuligańskich interesują młodzież w sposób niezdrowy. Ten i ów spośród uczniów mówi: a gdybyśmy tak my spróbowali? Czy wobec tego lepiej nie pisać? Czy można nie pisać? Trzeba pisać, ale trzeba zająć wyraźne stanowisko. Nie wiem, czy stanowisko, jakie znajduje nasza prasa, jest zawsze słuszne i właściwe. Byłoby wskazane, aby prasa, opisując wypadki chuligaństwa, wyraźnie mówiła młodzieży, że czyny takie podlegają karze. Na pochwałę „Życia Warszawy“ powiem: pisze ono na ten temat dużo, ale wyraźnie piętnuje chuligańskie postępkі, ukazuje, jak bardzo są one złe i szkodliwe.

Całkowicie zgadzam się z apelem do pisarzy: napiszcie nam taką książkę, aby nasza młodzież była nią zainteresowana.

Bolesław Redlich

## Kłopoty z „Trędowatą“

Niedawno napisałem list do „Nowej Kultury“ o popularności „Trędowatej“ Mniszkówny wśród moich koleżanek i kolegów. Dyskutowany tu na pewną sensację dlatego, że nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, że można w ogóle o takich rzeczach pisać, że są złe czyny, które o takich rzeczach myśla-

Z drugiej strony, jeżeli chodzi o zainteresowanie negatywne, część młodzieży o skłonnościach „biki-niarskich“ wybierała najbardziej erotyczne scenki i z upodobaniem je komentowała. Nasz polonista tłumaczył nam, że chodziło to o problem, którego nie mogło poruszyć np. „Sztandar Młodych“, a mogła „Nowa Kultura“. Co nas następnie zdziwiło — to polemika między jednym a drugim pismem. Tego przeciętny uczeń nie może zrozumieć. Przecież „Nowa Kultura“ ma wypisaną hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“, a „Sztandar Młodych“ jest organem Zarządu Głównego ZMP, oba pisma są w Warszawie. Skąd się biorą takie rozbieżności?

Jeżeli chodzi o mój list w sprawie „Trędowatej“, to wywołał on niezwykłą reakcję. Wielu kolegów po prostu nie mogło zrozumieć, że mi się ta książka naprawdę nie po-

dobą, po ukazaniu się listu uważali, że mam jakieś nieoficjalne „kontakty“ i że w ogóle lepiej ze mną szczerze nie rozmawiać. Pod listem podano, że szkoła mieści się w Tczewie, podczas gdy ja posiadam adres domowy, a nie adres szkoły. To ich oburzyło, a najwięcej to, że na końcu napisałem, iż takiej młodzieży nie orientującej się w wartościach literatury jest najwięcej na prowincji. „Jak to? W prowincji czy walisz?“ Były takie koleżanki, które nie mogły tego strawić, uczennice XI klasy, które równocześnie same uczyły w szkole miejskiej. „Jakby wyglądał nasz autorytet, gdyby ktoś z młodzieży uczniów się dowiedział, że jestem w klasie, która czyta i broni „Trędowatą“?

Dyskutowaliśmy nad tą nieszczerą „Trędowatą“ do późna w noc (zajęcia w naszej szkole dla pracujących kończymy o 9 wieczorem) i wreszcie przy pomocy naszego polonisty wyszło na to, że zrozumieli, tylko powiedzieli, że jestem „za bardzo pozytywny“. Rozstaliśmy się w przyjaznych stosunkach. Niektórzy krytykowali, że styl mego listu im się nie podoba, że mi go ktoś napisał.

Wojciech Wiśniewski  
uczeń II klasy liceum dla pracujących w Starogardzie.

## Spółczesność nie może być obojętne

Nie zgadzam się z kapitulanką postawą tego rodzaju: machnijmy ręką na chuliganów, my socjalizm zbudujemy bez nich. To jest postawa sprzyjająca rozprzestrzenieniu się chuligaństwa. Stwarzająca sytuację, kiedy chuligaństwo staje się czynnikiem zarażającym, kiedy zagraża wykonaniu planów przemysłowych. Wiemy z procesów, że takie wypadki załamywały plan przemysłowy dużego zakładu pracy.

Mówiło się tu dziś o tych, co noszą „naciśniki“. Moda to rzecz zmienna. Wąskie spodnie znikły, biki-niarskie kapelusze znikły — i uznaliśmy walkę za wygraną. Mówi się, że to się przeniosło na prowincję. Nie! Najważniejsze w biki-niarstwie! — to chęć imponowania, powszechna wśród młodzieży, chęć imponowania różnymi wyczynami!

W latach okupacji przedmiotem imponowania było to, że wysiadło się pociąg, lokomotywę. Ale kiedy sprawy okupacji zostały zamknięte, młodzi chłopcy następnego pokolenia zaczęli szukać nowych wyczy-

nów, którymi można by się było pochwalić, wyczynów, o których by się gadało.

Nie zwracaliśmy na to uwagi i jako nie dawaliśmy odporu tego rodzaju metodom imponowania. A jak uczy doświadczenie — od tego się właśnie zaczęło: od wulgarnych odezwań się wobec nauczycieli, od przejęcia przez ulicę, kiedy milicjant zatrzymuje ruch. Dwóch — trzech chłopców w przepelnionym autobusie ubliża konduktorce, a sześćdziesięciu pasażerów nie reaguje! Dlatego się chuligaństwo rozprzestrzeniło!

To jest błąd ZMP, że nie organizuje odporu młodzieży przeciw wyrykom chuligańskim. To jest błąd, że społeczeństwo jest obojętne, że nie przeciwdziała.

Nasze terenowe zarządy ZMP nie wiedzą co robić, jakie dawać instrukcje, jak stawiać sprawę... Czy zacząć się z chuliganami bić? Nawet w hotelach robotniczych, gdzie łatwo zorganizować odpór przeciw wyrykom chuliganów, władze terenowe nie potrafiły tego dokonać,

Jak od rozważań teoretycznych przejść do praktyki? Trzeba, abyśmy w naszej dyskusji zastanowili się, jak położyć kres i jak zlikwidować zjawisko chuligaństwa.

W Związku Radzieckim jest „Pamiętnik Pedagogiczny“ — piękna, najbardziej humanistyczna i humanitar-na książka, stanowiąca cały praktyczny wykład metod pracy. Ale radzę przejrzeć też radziecki kodeks karny. Tam wychowuje się młodzież, ale jednocześnie surowo, bez okoliczności łagodzących, karze się chuligaństwo.

Józef Kuśmierek

## Rozwijamy uczucia młodzieży

Będę mówiła jako matka, która ma syna, która obawia się o losy swego syna, i która chce stworzyć synowi najbardziej pozytywne i piękne życie.

Z zawodu jestem redaktorem, stymuluję się z literaturą młodzieżową i kocham bardzo młodzież.

Było tu wiele zarzutów pod adresem ZMP, młodzieży, było wiele nieporozumień. Stwierdzam, że wszystko to, co mówiono pozytywnego, jest słuszne, wiadome i przyjmowane z ołaskiwaniem. Nic w tym dziwnego. My wiemy, że wielki patos, gdy mowa o socjalizmie, a w dalszej drodze o komunizmie jest patosem pięknym, wiemy, że nasza ideologia może prowadzić tylko do zwycięstwa, ale wiemy również, że na drodze do zwycięstwa czyhają tysiące i tysiące trudności, że na drogę zwycięstwa prowadzi ogromna i ciężka walka klasowa.

Naszej młodzieży najbardziej brak jest miłości. Ktoś pracujący w szkole TPD powiedział, że dzieci nie umieją kochać. Ja też tam pracuję. Dzieci mówią językiem, który mnie przeraża. Mój syn trzynastoletni używa w sformułowaniach zwrotów sloganowych. Słuszne są obawy, by dzieci nie przeradzały się w marionetki, gdy piszą o marionetkach z Wall Street.

Niech miłość nie będzie na marginesie literatury. Młodzieży trzeba ukazać piękno i wagę głębokiego uczucia.

Nauczmy dzieci kochać, kochać Polskę Ludową. Tego musimy uczyć młodzież od przedszkola. Powinniśmy uczyć dziecko kochać, powinniśmy uczyć dziecko miłości do zwierząt, kwiatów, a przede wszystkim ludzi. Stąd płynie miłość rzeczy wielkich.

Gdybym mogła w Polsce Ludowej wstąpić do ZMP, chciałabym włożyć czerwony krawat, ale po to, żeby ten krawat oznaczał coś dla ludzi, którzy go zobaczą, żeby czuli, że jestem lepsza od tego, kto obok mnie stoi, a czerwonego krawata nie nosi. Czy tak jest? Tak nie jest.

Zgroza powłóła po tej sali, gdy się mówiło o chuligaństwie, ale mimo wszystko nie grozi nam załamanie, pesymizm. Mówimy sobie szczerą prawdę. W Związku Radzieckim po okresie rewolucji byli „bezpriżorni“. Czy Związek Radziecki się tego wstydił? Czy zamykał oczy na to, że było wielu chuliganów wśród dzieci, których rodzice walczyli i ginęli za sprawę? Czy Związek Radziecki wstydił się o tym mówić? Czy my mamy prawo wstydić się tego tematu? Nie.

Janina Planerowa

## O zrozumienie

### ideowego sensu współzawodnictwa pracy

Tuż napisał kiedyś piękny wiersz, w którym mówi: „córeczko, kłaniaj się ludziom prostym i małym, bo oni są wielcy“. Chciałbym powiedzieć o tym, czy i jak młodzi widzą swoją własną wielkość wtedy, kiedy są zwykłymi robotnikami, ludźmi zwykłej codziennej pracy.

Byłem delegowany na zebranie młodzieży, nie tylko z Nowej Huty, ale całej Polski, zebranie robotników budowlanych. Otóż młodzież nie wiedziała, co powiedzieć o tych wszystkich rzeczach, które są dla nas istotą zagadnienia. Dlaczego nie umiała tego powiedzieć? Ta młodzież nie żyła tymi zagadnieniami. Ci młodzi ludzie nie rozumieli, że w każdej dobie ich życia, ich młodzieżowego życia, jest 8 godzin, które powinno stanowić jądro, 8 godzin, które oddają pracy, kiedy oddają swój talent, zdolności, swoją wielkość na budowę państwa socjalistycznego, na budowę produkcji. Dla nich te 8 godzin pracy to była rzecz konieczna i niezbędna, ale najbardziej nudna. Ważne było dopiero to, co było po tych 8 godzinach, zabawa, różne wyczyny, ale wszystko poza tymi 8 godzinami, a o tych 8 godzinach, kiedy są w pracy, umieli powiedzieć bardzo mało. Było tylko paru aktywistów, którzy rozumieli to zagadnienie.

Gdy pytałem wielu przedstawicieli młodzieży — młodzi? innymi i na tych zebraniach: jak wy towarzysze rozumiecie współzawodnictwo, jaką macie z niego korzyść, — ale nie pieniędzy, tylko moralną, bo to jest jeden z podstawowych czynników budowania nowego człowieka, — to nie umieli odpowiedzieć. Dlaczego — pytałem — współzawodniczyć? — Tak, współzawodniczyć, podpisałem zobowiązanie, że skrócimy o tyle i tyle. — Pytam dalej: współzawodniczyć w brygadzie? — W brygadzie. — A jak realizujecie? — Kupa, w brygadzie, że w 5 dni podciągniemy piętro. Ale ile wy macie, ile wyrobicie? — Nie wiedzieli. Chciałem, by wiedzieli, pytałem: a ty, Wacuś, ile z tego zrobiłeś, bo jak nie będziesz wiedział, ile ty dziś zrobiłeś, to jak odróżnisz siebie od kolegi? Przy-

traktując resztę młodzieży. Istnieje wielu takich, którzy się uważają za tak mądrych na terenie uczelni, prostolinijnych partyjnie, organizacyjnie, zawsze właściwie postępujących, że mimo woli wywołują psychiczny odpór. To, że jeden student jest człowiekiem mniej światopoglądowo wyrobionym, sprzecywanym, pewne rzeczy rozumiejącym, nie upoważnia młodzieży, która kieruje resztą, żeby się uważała za młodzież nieskończenie lepszą.

Michał Krajewski

## Głos studentki

Byłam w trzech różnych szkołach, w dużym mieście i małym, a na uniwersytecie w Łodzi i Warszawie. Organizacja ZMP zarówno w szkole jak na uniwersytecie pozostawiała dużo do życzenia.

Na uniwersytecie i w szkole średniej spotyka się często aktywistów, którzy osiągając wysoki stopień politycznego uświadczenia dzięki przeżyłom, czy zaplecem rodzinnemu, dobremu kołu partyjnemu, czy rozwiniętemu intelektualnemu z niesłychaną wywyższością

Wydało mi się, że dyskusja jakby podzieliła naszą młodzież na dwie grupy, i chyba słusznie: — na mło-

Widzę tu brak zrozumienia zagadnienia, które przede wszystkim powinno mocno przenikać do naszej młodzieży. Jeżeli nie będziemy umieli naszym młodzieżowcom w produkcji wytłumaczyć: ty budujesz się jako człowiek, gdy będziesz walczył o każde 1 proc., o każdy ulamek procentu, gdy będziesz walczył o podniesienie twojej wydajności pracy — jeżeli nie będziemy umieli ukazać, jaki w tej walce jest romantyzm, to sprawa wychowania będzie trudną sprawą.

Każdy człowiek szuka wielkości, a młodzież szczególnie. Jeżeli w tym, co podstawowe, nie będziemy umieli pokazać wielkości, to tej bitwy szybko nie wygramy i walki będą ciągnąć się latami.

To jest zarzut w stronę Zarządu Głównego ZMP. Mając takie olbrzymie środki nie umie poprzez swój aparat ukazać, chociażby w jednym zagadnieniu współzawodnictwa, wielkości i bohaterstwa. Myślę, że poeta Tuwim pisał, że „małi“ ludzie są wielcy, miał tego rodzaju rzeczy na myśli.

Jeżeli tego problemu nie rozumiemy, jeżeli takiej treści w socjalistycznym budownictwie — nie w deklaracjach, formalistycznych cytatach — nie będzie, jeżeli nie będziemy mówić konkretnie z każdym robotnikiem, jakie ważne są zmiany w nim samym, na czym polega to nasze budowanie człowieka, jeżeli nie będziemy umieli tego wszystkiego przedstawić ludziom językiem, to będzie nam bardzo trudno pchnąć naprzód problem wychowania.

Krystyna Walicka

## Musimy pomagać szkole w wychowaniu młodzieży

Chciałabym dorzucić do tej bogatej dyskusji parę drobnych uwag w imieniu rodziców i młodzieży, z którą współpracuję jako członek komitetów rodzicielskich w dwóch szkołach ogólnokształcących stopnia licealnego w Warszawie.

Wydało mi się, że dyskusja jakby podzieliła naszą młodzież na dwie grupy, i chyba słusznie: — na mło-

rodzieży dobrej. Leży mi na sercu przede wszystkim ta właśnie grupa młodzieży, chciałabym na nią spojrzeć z pewnej perspektywy, a zatem chciałabym do dyskusji włączyć szerokie kregi młodzieży, zagarnąć nią także dzieci. Bo przecież i młodzież dobra i młodzież zła wyrasta z dzieci.

Sprawa zatem młodzieży zaczyna się już od wieku przedszkolnego i szkolnego — od pionierów i harcerzy. Z kobiecej wrażliwości, czy romantyczności nie mogę oprzeć się przypomnieniu na tym miejscu — banalne już wprost prawdy — że młodzież i dzieci są bardzo wrażliwe, serdeczne, czule, żadne działania, że to jest wspaniały materiał, z którego można rzeźbić wszystko co się chce. Chciałabym, abyśmy mówiąc do młodzieży, pracując, bawiąc się z nią, nie zapominali o tym, abyśmy umieli rozpałać tę czułość, pielęgnować wrażliwość, kierować jej pasją działania, która zaczyna się przejawiać już od wieku przedszkolnego, ażebyśmy, rzeźbiąc w tym pięknym materiale, nie zgasił tych wspaniałych iskieł.

Chciałabym stwierdzić, że współpraca literatów, plastyków, muzyków i w ogóle artystów — ich pomoc w wychowaniu młodzieży są bardzo potrzebne w szkołach, a nierzadko konieczne.

Np. sprawa recytacji. Wiemy, że w szkole sprawami recytacji zajmują się poloniści, lecz niestety, jak wykazał ostatnio zorganizowany konkurs recytacji oraz wypowiedzi w prasie na ten temat, sprawa przedstawia się na tym odcinku nie do końca. Ale zdobyci autora, żeby pomógł młodzieży, wielokrotnie bardzo zdolnej, żeby nauczył ją pracować w tej dziedzinie — niesposób. Nikt nie chce. Jakżeż więc można mówić o zaufaniu młodzieży i szkoły do was — w tych warunkach?

Przykład innego rodzaju, tak pod adresem resortu oświaty i jego stosunku do młodzieży. Na Żoliborzu ubiegłego roku jedna ze szkół brała bardzo czynny udział w imprezach artystycznych dla robotników. Młodzież bardzo zdolna, zapałona. Jeździła z występami do fabryk — z wielkim entuzjazmem i przejęciem. Ale imprezy były tak organizowane m. in. przez Wydział Oświaty RN, Warszawa-Północ, że dzieci — w wieku lat 10-13 wyjeżdżały na imprezę o 4 a wracały o 10-11 w nocy.

W pewnym momencie zbuntowały się dzieci, rodzice i szkoła, nie

zgodzili się na taki nocny występ. I wtedy przyszła do szkoły, do takiej klasy przedstawicielka z Wydziału Oświaty Rady Narodowej, która w dość ostry sposób zaczęła prawić morały o niespołecznym stosunku rodziców itp. Cała klasa się popłakała (10-letnie dzieci), płakały cały wieczór, ale poszły na imprezę, tylko już bez entuzjazmu.

Sprawa młodzieży to sprawa wielka, ale przejawia się ona w codziennych, drobnych, konkretnych obowiązkach i zabawach. Jeśli chcemy jej pomóc i z nią pracować — nie możemy jej zostawić samej w tej codziennej pracy. Chciałabym pod adresem ZMP postawić dwa wnioski: wniosek pierwszy: czy nie dałoby się opracować metodycznie form zabaw, zbiorów harcerskich, zbiorów zetempowskich, nie porzeżać tylko na politycznej dyspozycji programowej. Jak bowiem wygląda obecnie to zagadnienie w szkole? Byłam na zebraniu rady drużyny. Bardzo miłe dzieci. Bardzo miła drużyna. Omawialiśmy program zbiórek na listopad: Rocznicą Rewolucji Październikowej, rocznicą śmierci Nowotki, punktacją w związku z bohaterem pracy. To były suche dyspozycje z Komitetu Wojewódzkiego ZMP. Jak je wykonać — o tym się nie mówiło. Rezultat taki, że zamiast pożytecznej i interesującej formy zabawowej np. zorganizowanie inscenizacji na temat Rewolucji Październikowej, odpowiedniego filmu, przeczytania książki itp. dzieci męczyły się i nudziły nad referatami.

Wniosek drugi: ZMP powinno sobie postawić za zadanie wyszukanie w życiu takich Bwłowych, o których mówiła ob. Bobińska, jest ich na pewno dużo w różnych środowiskach, w fabrykach, szkołach, wśród robotników, wystarczy porozmawiać z pedagogami. To nie jest zresztą sprawa nowa, była już poruszana przez pedagogów.

Mnie się zdaje, że popełniliśmy ten błąd, że zostawiliśmy młodzież samą. Tymczasem młodzież jest pełna zapału i sił, ale nie zawsze umie we właściwy sposób nimi kierować. Trzeba znaleźć na każdym terenie takich przewodników młodzieży spośród dorosłych, którzy by się zajęli młodzieżą nie w sensie prawienia morałów, bo tym się zdiela niewiele, ale w sensie konkretnej współpracy na codzień.

Beata Matuszewska

## Podajcie nam ręce, towarzysze pisarze

Zdaje mi się, że na tych rozbieżnościach, które się tutaj ujawniły na sali w toku dyskusji zaczęła pewna sprawa, która poprzedziła tę dyskusję, zaczęła błędna część zainicjowanej przez „Nową Kulturę“ dyskusji na łamach pisma.

Trzeba powiedzieć, że wzajemne, nerwowe wysoki czy oskarżenia wynikały jako skutek nie jednej rozmowy i nie jednej myśli w obu tych środowiskach, środowisku pisarzy i literatów, działaczy kulturalnych, którzy zainteresowali się w sposób specjalny w tym momencie szeroko zagadnieniem wychowania młodzieży, aktywnym, aparatem, kierownictwem ZMP, które zostało uderzone niefortunnymi popełnieniami przez inicjatorów tej dyskusji. Powstała wzajemna nieufność tego typu, że towarzysze, którzy tutaj występowali, pisarze, działacze kultury, sztuki wykazywali tu wielką nieufność czy Zarząd Główny ZMP, czy ZMP jako całość widzi wszystkie trudne problemy i wszystkie braki, jakie przejawiają się w życiu, a które ludzi denerwują.

Ta nieufność przejawiała się w niepewności, czy aby my dostrzegamy, a jeżeli dostrzegamy, to dlaczego tak marnie likwidujemy.

Z drugiej strony była ta nieufność do inicjatorów dyskusji, a to z tego tytułu, że właśnie ten błędny kierunek dyskusji, ta sugestia, że jak dotąd w swej pracy wychowawczej ZMP nie ma dostatecznej pomocy, bo nasza literatura nie stworzyła — oprócz swe dzieła arsenału środków wychowawczych, które z kolei ludzimi pracującym po linii politycznej na odcinku młodzieżowym — tak bym to nazwał — ułatwilyby ich zadania. Brak tego bardzo daje się odczuwać.

I powstaje pytanie czy z kolei pisarze widzą we właściwych proporcjach, we właściwych wymiarach to zagadnienie, czy nie jest przez nich wypaczone, czy niedostatecznie ustrzegane?

Na gruncie nieufności i braku systemu przystąpiono tu do dyskusji i wydaje mi się, niestety, że ta dyskusja da więcej korzyści Zarządowi Głównemu ZMP, niż pisarzom. To dobrze, że jakaś wielka ilość ludzi chce brać udział w wychowaniu młodzieży, że bardzo wielka ilość ludzi tymi sprawami jest poruszona do głębi. Na tym gruncie można wzajemnie otwierać sobie oczy. Myśm bardzo często różnych elementów nie dostrzegali, ignorowali je w naszej pracy, nie umieli organizować, i to, że towarzysze wystąpili z taką namiętną dyskusją, świadczy o tym, że mamy szansę współpracy z naszym aktywnym kulturalnym.

Z tego powodu wydaje mi się, że mimo braków i błędów należy być wdzięcznym „Nowej Kulturze“, że zorganizowała tę dyskusję, bo otwo-

rzyła nam oczy, że wcale nie jesteśmy na wyspie bezludnej.

Dlatego wydaje mi się, że to jest dyskusja, która w mniejszym stopniu służy pisarzom czy działaczom sztuki? Wydaje mi się, że ta problematyka, która jest niezbędna, której żadne ZMP i żadna organizacja polityczna — wychowawcza nie jest w stanie wyrazić, ta problematyka, która musi być warsztatem twórców nie została tu wydobytą, tak jak nie została udzielona odpowiedź dlaczego problemy, które nurtują młodzież, i których nie można rozwiązać bez pomocy aktywu kulturalnego, w tak znikomym stopniu dotychczas interesowały i tak mało miejsca zajmowały w twórczości pisarzy?

Brak analizy dlaczego te prośby tak mało zajmowały miejsce twórczości poety, kompozytora, dłaacza sztuki, zdaje się, że tu dyskusję o tej pomocy, którą powinni okazać działacze sztuki w powołaniu młodzieży, wobec — ja by... się nie zawałał użyć określenia — alarmu, który podnoszony jest pod adresem słusznym. ZMP odpowiada za wychowanie młodzieży, nie uchyla się, ale i trzeba widzieć i tę stronę, że wychowywać musi całe społeczeństwo, a na całe społeczeństwo oddziaływanie kolosalne ma przecież literatura i sztuka. Nie stworzyliśmy żadnego prawdziwego, właściwego kodeksu moralnego czy etycznego przy pomocy najlepszego zarządu ZMP, ani kontroli realizacji, bez uruchomienia całego arsenału, który musi być uruchomiony dla wychowania całego społeczeństwa, a tu pierwsze miejsce należy do pisarzy.

Czy to pozwala zdjąć z nas odpowiedzialność? Nie, i nikt nam na to nie pozwoli.

Sprawa aktywu ZMP: mamy rzeczywiście bardzo ofiarny, bardzo oddany aktywny, przy pomocy którego można wiele zrobić i myśmy niejednako z tym aktywnem i dzięki niemu zrobili.

Ale mamy też w naszym aktywie bardzo wiele elementów, które zużywają pracę. Często jest niedostateczny poziom kulturalny, ogólny. To jest prawda. Wiemy o tym i mówimy na głos. Nie potrafiliśmy dostatecznie szybko podnieść poziom aktywu. To jest prawda. Aktywni stoją przed szczególnym zadaniem: 17-letni aktywista ma wychowywać 17-letnich chłopców. To są problemy, które się zdarzają nie często w historii narodu, które są właściwością najbardziej skomplikowanych, najbardziej trudnych epok. W takiej właśnie epoce powierzamy wychowanie młodzieży temu aktywiście, a jak go uzbrajamy? Nie dobrze. Omawiając tu te wszystkie sprawy, tworzymy w tej chwili atmosferę, która pozwoli powtórzyć jak kiedyś w Związku Radzieckim hasło — podajcie nam ręce, towarzysze pisarze!

Stanisław Ludkiewicz



# ZBIGNIEW SZYMAŃSKI ALBANIA

Kraj gór wapiennych i rozpadlin,  
Gdzie w pieśniach słychać tyle skarg.  
Gdzie starcy w śpiwnym porzekadle  
Na los żalili się, gdzie żar  
Dyszy w kamiennych jarach. Strumień  
Belkoce dzwicznie. Klaczki chmur  
Zawisły nad garbami gór,  
Które w odwiecznej tkwią zadumie.

Tu widać ciemną zieleni morza,  
Tu wulkaniczny zastygł pył  
W szczelinach skalnych i wąwozach,  
Gdzie górski orzeł gniazda wili,  
Gdzie nieraz szedł powstańcy hufiec  
Bezdrożem, pośród białych skał,  
A słońca blask skakał po łufach  
Zdobitych na sultanie dział.

Tu widać jak uderza woda  
O nowej elektrowni beton,  
Nad którą siatka lśni przewodów.  
Tu słów zabrakłoby poetom  
Opisać jak ciemniej w dali  
Brzeg Korfu, gdy się zbliża szkwał  
Znad Adriatyku, jak rozpala  
Pasterz ogniska pośród skał.

Przedziwny kraj. I tutaj nieraz,  
Gdy z rurociągu woda trysnie,  
To stara chłopka lzy ociera  
Ręką, po której jak na liściach  
Przebiega siatka żyl zgrubiałych  
Od pracy. Tu niemal lat  
Nad karkiem drżał turecki bat  
I obcych wojsk przemarsze grzmiały.

Grasował tutaj Włoch i Niemiec  
Dopóki ich nie przegnał stąd  
Radziecki żołnierz. Odpelźł front  
Na północ od albańskiej ziemi  
Grabiami wiejskie drogi znacząc.  
Gdy już się ścierał czołgów ślad,  
Szliz partyzanci do swych chat,  
A matki ich witaly płacząc.

Kraj gór wapiennych, pól pszenicznych  
Gdzie biega wstęgi wartkich rzek.  
Waleczny kraj, tu na granicznych  
Szczytach, gdzie leży zbity śnieg  
Żołnierze pól ojczystych strzegą,  
Winnie i fabryk, pierwszych szkół.  
Czuć, z uwagą patrząc w dół,  
Kto niespokojnym greckim brzegom.

## Pierwszy spacer

(Dokończenie ze str. 1)

nie mieć końca. Póde mną pracowicie posapuje Andrea. Przypuszczam, że w tej chwili nie myśli o mnie najczulniej. Ostatnie stopnie wieży przebywamy już na czworakach. Wreszcie zbawienie światła i wypelzamy na wazutki balkonik tuż pod daszkiem minaretu. Przed nami otwiera się przepastny wspaniały widok na leżącą w dole Tiranę.

Ale o dziwo: na balkoniku jest już ktoś — ów spotkany na dole staruszek w długim czarnym chalcie i białym turbanie. Wrażenie niesamowite, bo jakim cudem mógł tu znaleźć się wcześniej od

siedzbę Albańskiej Agencji Prasowej — przenika mnie nagle dreszcz podniecenia. Tuż przy mnie uchu wybucha przeciągły śpiewny okrzyk, znany doskonale czytelnikom wschodnich powieści dla młodzieży.

— La illah illallah, el Mohamed resul ulłah...

A więc jednak muezzin!

Przeglądam się chudziutkiem, zgrzybiałemu muezzinowi w czarnym wytuszczonym chalcie i mocno przybrudzonym turbanie. Inaczej to sobie jakoś wyobrażałem bardziej romantycznie. Po tym patrzę na imponująco szeroki Bul-



Stadion sportowy w Tiranie.

nas. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się, stwierdzamy, że staruszek wcale nie jest ten sam, tylko tak samo ubrany. A przyszedł tu zapewne w celu dokonania jakiejś czynności urzędowej, bo minę ma bardzo oficjalną. Coś mi zaczyna świtać w głowie, ale jeszcze nie jestem pewien.

Na razie Andrea, który zdążył już odzyskać werwę, utraconą przy forsowaniu piekielnych schodów — pokazuje mi ważniejsze gmachy Bulwaru Stalina. Tu Instytut Pedagogiki — tam Akademia Sztuk Pięknych. Ale gdy próbuję znaleźć

war Stalina, na długie szeregi jego nowych nieotynkowanych jeszcze gmachów. I na raz robi mi się niewypowiedzianie głupio. Rzeczywiście, po kiego diabła lażem na tę wieżę?!

W chwili głębokiej skruchy ślubuję Allahowi, że raz na zawsze zerwę z niemądrą pogonią za egzotyką.

Ale na wieżę minaretu nie tylko się wchodzi. Trzeba z niej także zejść. Jeżeli wchodzenie było torturą pierwszego stopnia, to schodzenie jest torturą zwielokrotnioną.

W momencie, gdy osiągamy wreszcie z powrotem poziom meczetu — ciało moje nie jest już organiczną jednością. Każdą jego część czuję oddzielną.

W sali meczetu, przed wersełami koranu kiwa się sześciu starszków w białych fezach. Tylko tytuł zareagowało na śpiewne zaproszenie muezzina.

Nie zważając na brak oddechu i żalosną kondycję ogólną, żądam natychmiastowych wyjaśnień od Andrei.

— Przecież to jest główny meczet Tirany. Wiedząc dlaczego tylko sześciu?

Andrea rozkłada ręce w komiznym geście bezradności.

— Co robisz: tylko sześciu... Opuszczasz meczet. Nareszcie znowu słońce i ziemia, nareszcie nie ma żadnych schodów.

Nogi mam jak z waty. Andrea przygląda mi się ze współczuciem i mówi bez cienia ironii.

— Już dwadzieścia lat mieszkam w Tiranie, ale na wieży minaretu byłem dopiero dwa razy. Teraz z tobą, a przed tym z... czeskim poetą, Janem Pilarszem.

Marlan Brandys

## Pisarze wobec dziesięciolecia

(Dokończenie ze str. 3)

na manowce? My — na idealizowanie z katedry dydaktycznej, oni — na realizm ostatniego rzędu: „realizm” dreszczu i szczegółu w takim rozbraniu, że tylko palnąć sobie w łeb, albo używać co się da.

Mam dziwne wrażenie, jak gdyby wszystko cośmy dotąd napisali, było zaledwie wstępem do realizmu socjalistycznego. Że dopiero jesteśmy przed literaturą, godną naszej sprawy i epoki, przed literaturą, która przyjdzie „Jak noc majowa” Brońskiego, a będzie, mówiąc za Lermontowem, jak dzwon rozkołysany nad narodem w dni trwożli, zwycięstw i powszedniej doli. Ten głos szlachetny, pełnobraźni zaledwie dzisiaj zgadujemy. Ale jeszcze trochę, jeszcze bliżej... Przeczucie, niemalże pewność wielkich wydarzeń literackich.

Dlatego w tym obrachunku na dziesięciolecie nie mówię o naszych osiągnięciach, ale o tym, co mogłoby wywołać dyskusję, która by w jakiej mierze przyspieszyła. Z całym poczuciem odpowiedzialności pisarza polskiego, z całą zacieklnością pisarza partyjnego, wywlekam na światło wszystkie rzeczy nieprzyjemne, ciężkie graty i rupiecie, które nam, szczególnie zaś młodzieży, odbierają swobodę ruchów. I jeśli mam w tym względzie jakiegokolwiek skrupuły, to tylko te, że to są bardzo stare rzeczy, nieraz już przez innych wywlekane. Aż przykro znów je ruszać.

Najważniejsza jest tu moim zdaniem kwestia nowatorstwa.

Czas już, aby młodzi mniej nas naśladowali, a więcej podglądali, gdzie się majstrum nie udało. Żeby mieli ambicję pisania po swojemu, lepiej i szerzej. Ale ta sprawa wybiega daleko poza Koła Młodych.

Nie ma wielkiej literatury bez wielkich problemów. Na tym polega cały sens zamówienia społecznego dla pisarza: wyczuć, co w tej chwili najbardziej ludzi raduje i boli, czym naprawdę żyje społeczeństwo, jaką przechodzi rozterkę. Musimy zatem wysoko cenić u literata, zwłaszcza u młodego literata, odwagę stawiania nowego problemu. Cenić na równi z najlepszą wolą i zgodą na ryzyko. I musimy znać możliwość jego błędu.

Oczywiście popełniamy przy tym mnóstwo omyłek, zmuszamy mnóstwo papieru, ale tych szkód razem wziętych będzie mniej niż przy nastawieniu na całkowitą bezbłędność

i nieszkodliwość. Wyjałowiłoby to w końcu literaturę do imienia z wszelkiego niepokoju, ruchu i siły, stwarzając klimat marazmu. Klimat sprzyjający jedynie rozwojowi szaraczki literackiej — tych właśnie istot sterylizowanie nieszkodliwych, bo bezosobowych, niedoczytanych, nieistniejących w czyjejkolwiek świadomości.

Skoro o tym mówimy, to już do końca: silne wpływy rodzą silne sprzeczki, falami płyną naprzód jakościowo inne formacje sztuki i nawet niebezpieczne mają niekiedy jak toksyny swą rację i moc, jeśli są mimo wszystko sztuką. Tylko mienota nikomu nie pomoże, nikogo nie zakazi i jak lajno dynda do czasu na wierzchu.

Trudno, te rzeczy należy nazywać po imieniu i młodym pokazywać: nie chciejcie, kochani, tak oto za wszelką cenę być na wierzchu! To żaden zaszczyt i wierzącie, sztuka żądna — przyjdź do literatury. Teraz, w okresie niebywałych potrzeb i zamowień społecznych — każdy jako tako słowno-muzykalny potrafi. Znacznie trudniej jest od literatury odejść. Mamy w Związku Literatów kolegów, którzy przyszli przez pomysłkę, albo roztrwonili niewątpliwie kiedyś zdolności, nie nie piszą, ale cierpią na pisanie, dręczą się sami i innych zadreczając, skwaszeni, obrażeni, tragicznie w niemożności wyrwania się z literatury, rozpoczęcia nowego życia w innym zawodzie... A już żeby zostać w literaturze — to się udaje jednemu na setkę literatów! Na setkę prawdziwych literatów, którzy są czytani, których talent społeczeństwo ceni, a o których jednak wcześniej czy później zapomni.

Kto więc chce po wierzchu, niech się odżegna szeroko, po sieniawiczowsku:

— Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa?!

I niech odchodzi, niech odchodzi póki czas.

A kto bez słowa nie może, kto chce nim zarabiać na chleb i szacunek powszedni — niech rusza w drogę daleką i ciężką, niech błądzi i szuka siebie samego, ludzkich spraw, mądrości życia i jak kochać to, o co się walczy.

To bardzo ważne — taka higiena uczucia. Bo jak się dostanie rdza cynizmu, to przeże najgrubszy nawet talent.

Reszta, przy zdolnościach — to fume. Są książki, wykłady, ludzie uczeni i doświadczeni... Ale tych rzeczy nie znajdziecie w żadnej uczelni, w żadnym konspekcie. Tu żaden krytyk nie pomoże. To trzeba samemu.

A co do tego, jak pisać, to nie będę was, młodych, uczył. Nie będę z dwóch powodów:

po pierwsze — ja się jeszcze nie skończyłem;

po drugie — wiecie lepiej. Na tym właściwie polega cała różnica między nami. Pocięszam się myślą, że za lat dwadzieścia, kiedy napiszecie parę książek, kiedy zobaczycie całe bogactwo życia w nieskończonej mnogości barw, spłotów, możliwości, będziecie mniej pewni, że trzeba tylko tak a nie inaczej, i też nie bardzo będziecie wiedzieli jak pisać. I wtedy, sądzę, będziecie pisarzami.

Czy wszyscy? Nie jestem jasnowidzem. I w ogóle, jeśli chodzi o wiedzę pisarską, niewiele umiem, ale co wiem — wiem z całą pewnością: nie jest pisarzem, kto chwytą jedno rzemiosło pisarskie albo czyj talent świeci mrocznym blaskiem, albo kto lże nie wierząc w to, co pisze; nie jest pisarzem, kto uszami strzyże, drząc łekliwie z pożądaniami do druku — nie do druku?

kto wszystkich słucha bezrozumnie, nie patrząc w głąb własnego serca i sumienia,

dla kogo pisarstwo nie jest oddechem, miłością i sztandarem.

Taki zawsze będzie pisał obiecująco, do starości niepełny, niedojrzały — wieczny niedopisarz.

Igor Newerly

**R**

**Gustaw Flaubert  
SZKOŁA UCZU**

Przełożyła z francuskiego  
Aniela Miclińska

Str. 451 zł 18.—

+  
**Diderot**

**KUBUSZ FATALISTA I JEGO PAN**

Przełożył z wstępem opatrzył  
Tadeusz Żeleński (Boy)

Str. 295 zł 10.—

**PANSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY**  
K-3082-1

## KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

### Trzy głosy w sprawie jednej antologii:

literatury ani krytykowi literackim, choździo zapewne o przekłady „mechaniczne” — w młoty, sztywne, mechaniczny sposób trzymające się tekstu oryginalnego? Odpowiedzieć na ten zarzut, nie poparty ani jednym przykładem, nie podobna; mogę jednak przyznać Recenzentowi, że przekłady umieszczone w antologii „Wolność” są na ogół bardzo wierne, cę w poszczególnych wypadkach (powtarzam: poszczególnych) mogło stworzyć pozory pewnej sztuczności czy sztywności translatorkiej, dostrzegalne przy porównaniu danego tłumaczenia z oryginalnym węgierskim. Skąd się wzięła ta ortodoksyjna, filologiczna nieraz wierność oryginałowi? Stąd zapewne, że do pracy nad antologią wciągnięci zostali z konieczności również i poeci nie znający języka węgierskiego, którzy opierali swoje tłumaczenia nie na tekście oryginalnym, ale na dosłownym przekładzie filologicznym. Bolaćka to dobrze znana wszystkim naszym wydawcom, bolaćka jednak chwilowo nie do usunięcia — póki większa ilość dobrych poetów polskich nie nauczy się języka węgierskiego!

po drugie: oż właściwie oznacza zarzut, że wśród polskich tłumaczy poezji węgierskiej nie posiadamy poetów tej klasy, co Isakowski, Tichonow czy Marszałek. Nie możemy przecież wymagać od naszych wybitnych poetów, aby uczyli się w tym celu języka węgierskiego! Co więcej, jeżeli nie możemy mieć do nich pretensji, jeżeli nie możemy im „upotyżować” jeżdżenie po przekładzie filologicznym! Mnie osobiste raz tylko udało się wydosłać taki przekład (świątyni przekładu) od Juliana Tuwima, który „prze tłumaczył” jeden wiersz Petőfiego („Dziękuję ci”) do opracowanego przeze mnie „Wyboru poezji” tego poety, opierając się na przekładzie rosyjskim i na dosłownym tłumaczeniu poety. Ale to była tylko przyjaźnielska przysługa, od której powtórzenia Tuwim wytrzymał się jednak, kiedy chodziło o antologię „Wolność”.

Jaka więc znaleźć radę na te translatorские kłopoty? Myślę, że znajdują się nawet dwie: stale podniecać poziom artystyczny tych przekładów, które wychodzą spod pióra poetów znających język węgierski (takich możemy w Polsce policzyć dosłownie na palcach), a równocześnie zachęcać naszych młodszych poetów do nauzenia się tego trudnego, ale oryginalnego i ciekawego języka, co umożliwiłoby naszym czytelnikom polskim zawiązać bliższą znajomość z najpiękniejszymi dziełami bogatej poezji węgierskiej.

Ogromną rolę odegrała tu oczywiście i poważne, uczciwe, udokumentowane recenzje tych przekładów — recenzje pisane przez krytyków literackich znających dobrze język węgierski, a przy tym obdarzonych przez naturę ową, wyrazistością i „muzikalnością”, bez której najlepszy nawet znawca rzeczy węgierskiej nie potrafi sprawiedliwie ocenić przekładu wiersza węgierskiego.

Juliusz W. Gomulicki

Sprawie tej antologii trapią; oddajemy im przeto głos.

RECENZENT: Czytelnik, biorący do ręki pięknie wydany tom, miał prawo spodziewać się, że otrzyma wybór najbardziej charakterystycznych dla każdego z okresu fragmentów węgierskiej poezji i prozy. „Każdego, kto z tymi nadziejami w sercu brał do ręki „Wolność”, spotkał zawód. Tom wydany przez „Czytelnik” okazał się antologią walczącej literatury węgierskiej.

AUTOR PRZEDMOWY: „Nie znalazłmy dotąd należytego przedmiotu do rewolucyjnej literatury węgierskiej. Zdaniam niniejszego zbioru jest uzupeł-

nienie powstałej luki, a tym samym zbliżenie obu narodów — tak samo budujących dziś swą przyszłość.

RECENZENT: Antologia nie uwzględniła zagadnień literackich i nie trzyma się zupełnie wskaźników chronologii. W ten sposób otrzymujemy dzieło podzielone wprawdzie na wielkie okresy historyczne, zgodnie z założeniami periodyzacji historycznej dzieł Węgier, ale nie mamy żadnej periodyzacji literatury węgierskiej.

AUTOR PRZEDMOWY: (Antologia) daje przekrój poszczególnych okresów walk wolnościowych i ich odbicia zarówno w literaturze współczesnej tym walkom, jak i późniejszej. Układ zbioru nie odpowiada chronologii powstawania utworów, ale okresom, z którymi te utwory się wiążą.

Na niektóre pytania retoryczne recenzenta odpowiedź udzielić może po prostu nota redakcyjna lub spis rzeczy.

RECENZENT: Nie uzgodniona jest pisownia węgierskich nazwisk (raz na przykład pisze się w pisowni węgierskiej Iranji (czytaj Iran), innym razem w pisowni fonetycznej Karoli (w oryginalnie Karolyi).

ODPOWIEDZ: Aby ułatwić czytelnikowi wymowę nazw węgierskich, redakcja wprowadziła transkrypcję fonetyczną nazwisk postaci fikcyjnych, wszystkich imion oraz nazw miejscowości. Natomiast nazwiska autorów oraz bohaterów historycznych podane są w pisowni oryginalnej.

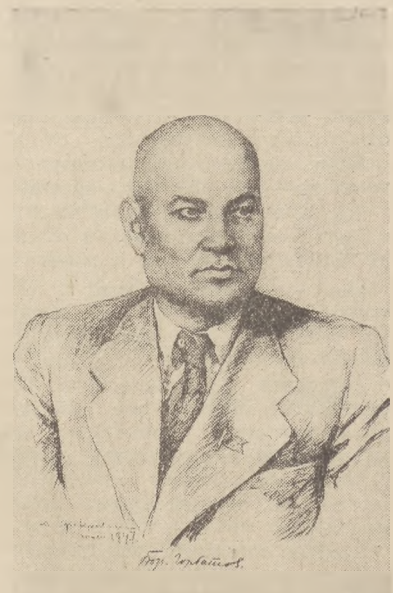
RECENZENT: Czy choć raz jest wspomniane w jakimś utworze nazwisko jednego z największych ludowo-wyzwoleńczych walki Węgrom na początku XVIII wieku — Franciszka II Rakoczego, którego 250-lecie tak uroczyste obchodzili w bieżącym roku Ludowe Węgry?

ODPOWIEDZ: Dwa razy. W wierszu Andre Adyego pt. „Kum Tomasza Esze- go” na str. 29.

W związku z powyższymi listami wyrażam, że nie byłem żadnym „uczestnikiem pracy” nad omawianą antologią. W zaawansowanej już staniu pracy nad antologią dostałem propozycję dorobienia komentarzy historycznych, które w postaci znaczących zmieniłem (oryginały posiadał i ukazywał się Zaprzątnawczy wówczas z całą siłą tej domniemanej antologii wysunąłem już wówczas wszystkie zarzuty, proponowałem wstać np. podjęcie „kurucką” z czasów Rakoczego itd. i zastrzegłem sobie wolną rękę w ocenie całości.

Uważny czytelnik powyższych listów zauważy, że nie ma i nie może być żadnych sprzeczności między moją recenzją a przedmową. Jeżeli w przedmowie jest powiedziane, że „antologia daje przekrój walk wolnościowych i ich odbicia w literaturze”, to jest to całkowicie zgodne z recenzją, w której podaję podstawę ewolucji form literackich. Podstawą moich zarzutów było że antologia nie jest antologią rozwoju historycznego literatury, ale jest tylko ilustrowaniem literatury — lepszą lub gorszą — do historii. Zarzut ten nie może oczywiście dotyczyć węgierskiej literatury, ale dotyczyłby literatury węgierskiej, gdyby ten — wobec istnienia innych antologii i życia się każdego Węgry od dzieciństwa z pewnymi utworami, nazwiskami, formami itd. — właśnie tego rodzaju ilustracja literacka do dzieł była w danej chwili potrzebna. Ale co dobre na Węgrzech, to nie musi być dobre u nas, gdzie — moim skromnym zdaniem — należało wprawdzie wybrać z literatury od jej zarania do dziś dnia na podstawie istniejących już licznych przekładów XIX wiecznych i XX. wiecznych. Nie ma też kolizji w sprawie pisowni nazw „Karoli” też należy uważać za niewłaściwe historyczne. Zresztą byłem przeciwny temu podziałowi trans-

## Zmarł Borys Gorbатов



Przed niewielu dniami zaskoczyła nas żałobna wiadomość o śmierci pisarza, którego książki czytaliśmy i chwaliliśmy w pamięci, tak jak się chowa rzeczy przynależące do przeszłości. Borys Gorbатов, autor wielu znakomych powieści, opowiadań i scenariuszy filmowych.

Pracę literacką rozpoczął nadzwyczaj wczesnie. Mając ledwie 14 lat był już autorem drukowanego opowiadania pt. „Syci i głodni”. Powieścią, która przyniosła rozgłos jego imieniu był pamiętnik młodości pokolenia, do którego sam należał — żywe wspomnienie bitew i starć klasowych o republikę w pierwszych latach jej narodzin. Później były wyprawy poza kraj polarny, spisane w opowiadaniach z Arktyki. W trudnych dniach Wojny Narodowej zmęczenia, okrępla jeszcze bardziej twórczość pisarza. Była wezwaniem do walki wyprowadzającym pełnym głosem „Uczucia wielkiej miłości ojczyzny i żywego patriotyzmu” dyktowały sironice „Dusz nieujarzmionych”, dzieła odznaczające Nagrodą Stalinowską. Po wojnie powrócił do najbliższej mu tematyki twórczego trudu ludzi radzieckich budujących chwałę komu swego kraju. Dał temu wyraz ostatnią swą powieścią „Donbas”. Pisał w niej o wielkim porwaniu ludzi młodych — komosolców, tak jak gdyby dając tym znać, że sam nie przeżył jeszcze własnej młodości. Był młody nie tylko wiekiem — był młody we wszystkim, cokolwiek powstawało w jego wyobraźni i pod jego piórem.

Był pisarzem, którego twórczość rozdziała się niezmienne z pamięcią jednej wytrwałej pasji — oddania talentu swego słowa ku pożytkowi zwyczajnych prostych ludzi, pracą swoją i myślą zmieniających świat, tworzących historię jego wyzwolenia. W tym widział swoje powołanie i potwierdzał je całym życiem, wysiłkiem wyłożoną pracę twórczą, każdą napisaną stroną swej prozy.

RECENZENT: Tak np. dlaczego nie uwzględniono w antologii Antylli Józsefa i jego — że użył tu wyrażenia krytyka radzieckiego — „przenikniętych palacą nienawiścią do faszyzmu utworów”?  
ODPOWIEDZ: Antylla József — „Czerwona pomoc” — str. 200.  
Antylla József — „Noc na przedmieściu” — str. 221.  
Antylla József — „Moja Ojczyzna” — str. 240.

Tyle w sprawie ob. ob. Janów Reychmanów. Czytelnikom „Nowej Kultury” natomiast należy się wyjaśnienie.

Redakcja „Czytelnika” dostarczyła dotąd na rynek polski pokazną, acz bardzo niedostateczną, ilość przekładów prozy krajów demokratycznych: Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i Bułgarii. Jednym z najpilniejszych a zarazem najtrudniejszych zadań edytorialnych „Czytelnika” jest wydanie antologii poetyckich tych krajów. Nie posiadamy w Polsce filologów i znawców tych literatur, którzy mogliby się podjąć samodzielnego dokonania wyboru i redakcji tak poważnych i odpowiedzialnych przedsięwzięć. Dlatego przy pracy nad takimi antologiami posługujemy się albo przekładami gotowych antologii (tak się stało w wypadku antologii „Wolność”), albo powierzamy wybór Związkom Literatów poszczególnych krajów.

Antologia poezji bułgarskiej w układzie dokonany przez Związek Pisarzy Bułgarskich jest już w druku; „Antologie poezji czechkiej i słowackiej” opracowuje dla nas obecnie Związek Pisarzy Czechskich i Związek Pisarzy Słowackich.

Osobym, niesmiertelnie trudnym zadaniem jest praca przekładu antologii poetyckich z języków, których nasza poeci (ze znikomymi wyjątkami) nie zna. Ale to warto omówić obszernie przy innej okazji.

Redakcja „Czytelnika”

krypcel. Odnosno następ w przedmowie nie pochodzi społu mojego pióra. Jest przedmowa moją, że załączona antologia jest „wypełnieniem powstałej luki” to bynajmniej nie musi to znaczyć, żeby ta luka miała być dobrze wypełniona.

Podtrzymuje więc zarzut naczelny że błędna jest sama koncepcja automatycznego przekładu całości obcej antologii, bez względu na to czy „Czytelnik” tak samo robi z antologią bułgarską, czechosłowacką czy inną. Podtrzymuje też w pełni drugi zarzut zasadniczy że myślenie do mojej recenzji i on wprowadza w błąd. Oczywiście, że zagadnienie całości polskiego układu dolega redakcji „Czytelnika” a nie redaktorów przekładów. Niektóre drobniejsze zarzuty redakcji „Czytelnika” w stosunku do mojej recenzji mogą być słuszne w stosunku do tego sformułowania, które moja recenzja ostatecznie przybrała (odmienne od jej pierwotnej postaci) choć np. o A. Józsefie nie o tych poezjach myślałem, a nazwisko Rakó, czego raz w środku wiersza wymienione zupełnie nie może służyć za podstawę do twierdzenia, że postać Franciszka Rakoczego jest w antologii należyście uwzględniona. Stawiając pewne zarzuty całej antologii, nie chciałem w żadnym wypadku powiedzieć, żeby ona była zła, nigdy nie mogłem tego mieć na myśli, i jeśli ktoś tak zrozumiał, to na skutek myślnego sformułowania pewnych zwrotów.

Wiedziałem, że mimo błędnego założenia i błędnych tytułów sama publikacja jest dobra i jej redaktorzy, bez względu na podział funkcji włożyli w nią dużo wysiłku, za co należy im się szczerze uznanie. Niemniej przeto na prawdziwą antologię literatury węgierskiej dalej czekamy.

Jan Reychman

**BIBLIOTEKA** **R** **TEATRALNA**

**Juliusz Siowacki  
FANTAZY**  
(Nowa Dejaniza)  
Dramat w 5 aktach  
Wstęp Jerzego Skońnickiego  
Str. 212 zł 3.—

+  
**Aleksander Fredro  
PAN GELHAB**  
Komedia w 3 aktach.  
Małą kronikę życia i twórczości Fredro opracował Włodzimierz Lewik. Przepisami opatrzyła A. Frybesowa.  
Str. 98 zł 3,20

+  
**Józef Biziński  
PAN DAMAZY**  
Komedia w 4 aktach.  
Opracował Zbigniew Wasilewski. Tekst komedii poprzedza mała kronika życia i twórczości Bizińskiego, uzupełniona bibliografią.  
Str. 211 zł 3.—

+  
**Henryk Kleist  
ROZBITY DZBAN**  
Komedia w 12 scenach.  
Przełożył z niemieckiego Zbigniew Krawczykowski.  
Str. 153 zł 6.—

**PANSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY**  
K-3076-1







ARTUR MARYA SWINARSKI

## R a t u j m y d z i e c i !

P A R O D I E

JAN BRZECHWA  
ZEBRANIE SEKCJIHANNA JANUSZEWSKA  
LEGENDA O ZŁOTEJ KACZCE

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Dwie  
aktualności

Pozwólcie, że zacznę od kulis. Otóż chciałem „okropnie złośliwie” napisać o numerze 1/54 Polskiej Kroniki Filmowej. Rozdziła mnie bowiem zbyt duża ilość smakoszów i żartoków, jaką zdemonstrowała kronika podsu nowując ubiegły, 1953 rok. Widziałem w tym, czy raczej przywidział mi się jakiś odwrot PKF od kierunku na budownictwo podstaw socjalizmu do jedynie owoców tego budownictwa, i to owoców pojętych w sposób najbardziej trywialny. Już więc chwyciłem za pióro, aby bronić pryncypialnego kierunku Polskiej Kroniki Filmowej, ale w porę chwycono mnie za rękaw: — „Spokojnie, bez paniki, zobaczymy co z tego wyniknie”.

A wynikało to, czego wszyscy przecieży pragnięmy — numery drugi i trzeci PKF — z których wynika, że Kronika, jedna z najcenniejszych galezi naszej produkcji filmowej, ma jednak wystarczająco dobrze w głowie, aby nie tracić proporcji, aby przez konsumpcję nie rozumieć żartu z tłuszcem kapiącym po brodzie, a przez aktualność czegoś, co nie daje się pogodzić z długotrwającą kierunkowością, z trwałością zasad. A więc dobrze się stało, że „okropna złośliwość” ominęła PKF, natomiast nie może ominąć sedna sprawy — fałszywej aktualności. Ta sprawa pozostaje na wokandy, jest aktualna.

Przykłady? Jest ich sporo — i w filmie, i w powieści, i w teatrze i nawet, jak wykazał to w toku samotnej walki z Polskim Radio Gwarskim — w piosenie lirycznej, która dotychczas uważałem za nosicielkę „rzeczy wiecznych” — że rano, że noc, że on z nią i ona z nim... Przykładów dostarczają ci wszyscy, którzy uchwycili się jednego faktu czy zdarzenia nie widząc całego ich korowodu, z którego to dopiero, jak szeregu supłów nawiązanych na sznurze — starym piśmie Indian — można czytać prawdę. Dostarczają ci, dla których z osobna wzięta uchwała rządu czy partii, przemówienie męża stanu czy wydarzenie międzynarodowe staje się górą tak wysoką, że nie widąc spoza niej całego łańcucha skalnego.

Sztuka rządzenia krajem jest jak strategia — która zna przegrupowania, ale nie zna zabiegów, którzy oglądaliśmy na „Fanfanie Tulipanie” — usadowienie się tytułu do linii frontu. Absurdem jest zapomnienie o ciągłości, pryncypialności naszej polityki, taktyka pamiętania tylko ostatniego rozkazu nie należy do najbardziej dalekowzrocznych. Więcej nawet: świadczą ona o niezrozumieniu istoty, ducha rozkazów władzy, z których każdy przecież wyrasta z poprzedniego i zapowiada następny. Rozpatrywać je z osobna mogą tylko spadkobiercy komentatorów aleksandryjskich, brnących w gęszczu formy i zapominających o istocie dzieł literatury antycznej. Ale przecież nie tylko w żartach zasiedli niektórzy Rybkowskiemu, że „Warszawska premiera”, „utrafił” akurat na hasło nawiązywania do tradycji narodowej, a „Pierwszymi dniami” akurat na X rocznicę powstania PPR. Nie zrozumieją jednak ci zadrośnicy, że jeśli filmy te udały się ich twórcy to nie dlatego, że ma on jakiegoś genialnego „mitucha” do wyszukiwania rzeczy akurat pasujących do danego momentu, ale że jego wewnętrzne przemyslenia zbiegały się z tokiem spraw społecznych i mogły z nim współgrać.

Istnieją dwie aktualności i jedna z nich jest fałszywa. Jest aktualność ogromna, ta, której służy wielka sztuka. Ta aktualność, to szczegól obyczajowy i polityczny u Cervantesa, utopiony w potężny maszyn epopei. To aktualność Majakowskiego, wyrażająca się nie tylko w nazwach jakichś nieistniejących już dawno instytucji, które ongiś żywe, żyją w jego poematach, ale i w „Oknach satyry ROSTA”, codziennych, gorących agitkach. Gdyby Majakowski pisał slogany na pudelka od zapalek — pozostałyby i one. Bo aktualność ogromna nigdy nie żyje sama dla siebie, nigdy niczego nie przesłania, ale wtapia się w uszyściłymi swymi przejawami w jeden zasadniczy kierunek ideowy. Celując w konkretny moment, nie zapomina o tym, który był przed tym i który nastąpi — w ten sposób trafia w wielkie idee, które urabiają historię. Ale istnieją również aktualności fałszywa, taka, która pamięta tylko ostatni rozkaz, ale nie wie, z czego wyrasta. Nie uznaje zasad. Miota się wśród zjawisk, których nie jest w stanie zgłębić. Jest to aktualność płytka i jałowa, i nie ona stanowi drogę wielkiej sztuki, sztuki ogromnie aktualnej i prawdziwie trwałej.

Artur Marya Swinarski

Krzysztof Teodor Toeplitz

Wicie, dziecięcki, gdzie Lysa Góra?  
Nad Lysą Górą ponura chmura:  
To baby Jagi z miotłami w łapach  
Wokoło góry krążą na capach.  
Puszczyk im piszczy, miesiąc im świeci.  
Zbiera się sekcja straszenia dzieci.  
Biada, dziecięcki, nie ma ucieczki,  
Dzisiaj wam baby spiorą majteczki,  
Dzisiaj uchwała zapaść ma nowa.  
(„Obecność wszystkich obowiązkowa.”)

Już baby Jagi zasiały w kole,  
Młodsze na dole, zarząd przy stole.  
Pławia się capy w świetle miesiąca.  
I głos zabiera przewodnicząca:

— Kochane siostry! Panny i panie!  
Bywało sporo klęsk w naszym klanie:  
Lochy, tortury, stopy, szafoty —  
Wie się coś o tym z dziejów ciemnoty.  
Lecz nie pamięta nikt od stuleci  
Klęski tak groźnej: zmądrzały dzieci.  
My je straszymy, a one broją,  
Bo już się baby Jagi nie boją.  
Hasasz po strychu, dziecko usłysz  
I mówi: „Mamo, znowu te myszy.”

Słepiami świecąc kucasz na płocie,  
A dziecko woła: „Odpieprz się, kocie!”  
Duchy, bobaki, błędne ogniki, —  
Wszystko tłumaczy prawem fizyki.  
I choćby przyszło czarownic trzysta,  
Śmieje się mały materialista.  
Już cały zarząd wyłysiał z troski.  
Radźmy, co robić!... Czekam na wnioski.

Zawrzało w sekcji straszenia dzieci.  
Puszczyk im piszczy, miesiąc im świeci.  
Rajcują baby i dyskutują,  
Reasumują, odfajkowują,  
Tu anulują apodyktycznie,  
Tam wycofują samokrytycznie.  
Pięć godzin radzi wiedźmowy sztab, jak  
By tutaj prestiż ratować bab Jag.  
Nudzą się capy w świetle miesiąca.  
Aż wreszcie wstaje przewodnicząca.

— Kochane siostry! Panny i panie!  
Podaję wniosek pod głosowanie:  
Fora bobaki, zmyły, koszmary!  
Na co te czary, gdy nie ma wiary?  
Kto dzisiaj wierzy w domek z piernika,  
Gdzie wiedźma dzieci w kocu zamyka,  
Tuczy jak gęsi i dusi w kotle?  
Co nam po capie, co nam po miotle?  
Jeden ratunek: literatura!  
Rzuciwszy miotły wziąć się za pióra,  
Przegnawszy capa dosiąść Pegaza  
I na dziecięcki spaść jak zaraza!  
Skończyłam.

Brawa biją jej wiedźmy.  
— Hej, na Warszawę, siostry, najedźmy!  
Szaleje sekcja straszenia dzieci.

Puszczyk im piszczy, miesiąc im świeci.  
Biada dziecięcki, nie ma ucieczki,  
Będą bajeczki, będą książeczki.  
Przyjdą Ewunie, przyjdą Lucynki,  
Męczyć chłopczyków, dręczyć dziewczynki.  
Bo już do lotu zastęp gotowy,  
Już warczy nowy pean bojowy:

— Piszczy puszczyk,  
Miesiąc świeci.  
Baba Jaga  
Wiersze kleci.

Co nakleci,  
To powtyka  
Do „Płomyczka”  
I „Świerszyczka”.

Idzie burza.  
Zaraz trzaśnie.  
Baba Jaga  
Kleci baśnie.



Rys Maja Berezowska

Dla dziewczynki,  
Dla chłopczyka,  
Dla Stefczyka  
Z „Czytelnika”.

Niech głupieją  
Biedne dzieci!  
Baba Jaga  
Wiersze kleci. —

Z bojową pieśnią od Łysej Góry  
Pędzą do Domu Literatury,  
Gdzie się odbędzie o pół do trzeciej  
Zebranie sekcji straszenia dzieci.  
Biada, dziecięcki, nie ma — — —

O! jest ucieczka, drogie dziecięcki:  
Wydałem cztery nowe książeczki.

LUCYNA KRZEMIENIECKA  
O WIELGACHNEJ BANI I MALUCHNEJ MANI

W ogródeczku rośnie bania.  
Przyleciała maluchna Mania  
i tak mówi głosem mocnym,  
bo jej tato jest dozorcą nocnym:

— Ma bania zieloniutki listeczek  
jak mały kieliszeniec.  
Potem będzie jak szklaneczka,  
potem jak butelczyneczka,  
a potem wielgachna jak talerz.

Ej, nie nikomu nie powiedzą  
i banię zjedzą.

Mówi Kasienieczka,  
co ma niebieskie oczeczka:

— Ej, przyjdzie kruk,  
ej, czarniusięki od głowy do nóg,  
wydlubie dziuruchnę, dłu, dłu, dłu,  
bo ma zółciutki dziób.

Mówi babula Kordula,  
co ma czerwoniuchną koszulę:

Ej, przyjdzie tupu, tupu, dzięk  
z bratem także dzięk.  
Ej, w migu, migu, mig,  
zjedzą banię pewnikiem.

Mówi Kasperek,  
co wczoraj zjadł cukierek:

— Kozioł, jak to koza,  
urwie się z powroza  
i zje banię,  
ej, na śniadanie.

Mania plaku, plaku, plakuleczki,  
bo jej żal banieczki.  
A Burek, piesunio, co przed budunią siedział,  
tak do Mani powiedział:

— Nie płacz, Maniu! Hau, hau, hau,  
będę bani pilnował.

Więc napisałam dla maluchnej Mani  
wiersz do bani.



Rys Maja Berezowska

Na to mówi Jurek,  
co lubi żurek:

— Ależ, ależ!  
Przyjdą z łączki  
bracia zajaczki,  
trzymając się grzecznie za rączki.